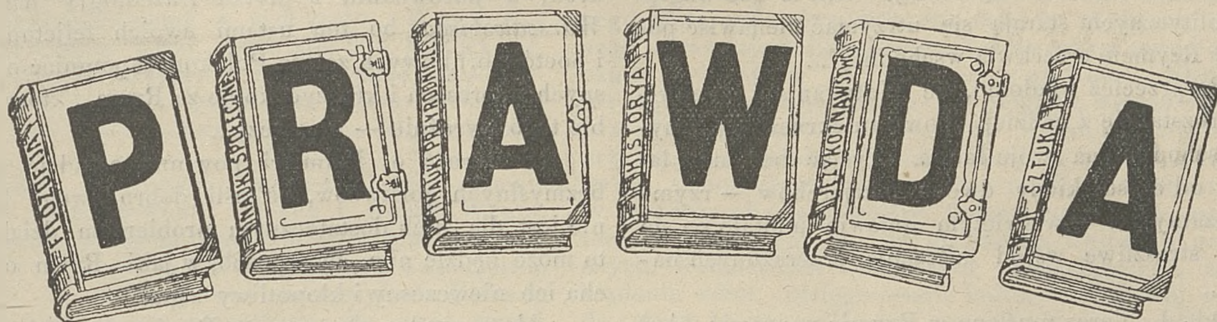
Nr 24 (1587). Warszawa, 17 czerwca 1911 r. **Rok XXXI**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Młot i kowadło.

Biskup Eulogjusz, filar Kościoła wschodniego na kresach i czynny twórca nowej gubernji, taką niedawno miał rozmowę ze współpracownikiem gazety *Now. Wremia*:

— Nasze kresowe duchowieństwo spokojne i ciche, siedzi skromniutko po parafjach swoich. Są to naogół ludzie dobrzy i kapłani gorliwi, lecz nie są to ludzie idei. Wielu z nich marzy tylko o powrocie do Petersburga lub do prowincji z jednolitą prawosławną ludnością. A obóz duchowieństwa katolickiego świetnie zorganizowany, z kadrami emisarjuszów, działających wedle ściśle określonego planu; w odwodzie zaś stoją ofiarne środki materjalne bogatego ziemiaństwa. Zwróć też pan uwagę na to, że wódz tej całej potężnej organizacji aż gdzieś za górami, w Rzymie. Jak się tam do niego dobrać! („Dobieritieś-ka do niewo!").

Mniejsza o ten obraz kresowego duchowieństwa wschodniego, w łagodnych przedstawiony barwach; ważnym jest, że biskup Eulogjusz, nie wiedząc, jak się dobrać do papieża, dobiera się z łatwością do tych, których poczytuje za jego pupilów i emisarjuszów — a więc do katolików polskich.

Nie gardząc bynajmniej pomocą państwa, które pozwala mu rozporządzać całym ogromem swoich środków przymusowych — Kościół wschodni zabiega już o reformę seminarjów prawosławnych, skąd wyjdą niebawem odpowiednio wyszkolone zastępy popów, zdolnych „wziąć się za bary z duchowieństwem katolickim".

Nadzieje te budzi zwłaszcza powołanie W. K. Sablera na stanowisko nadprokuratora Synodu...

Tyle biskup Eulogjusz. Złowieszcza ta rozmowa doszła do nas dzięki czujności p. Czesława Jankowskiego, który ją ze szpalt *Now. Wremi* wyłowił i do publicznej podał wiadomości w *Kurjerze Warszawskim.*

Na tym jednak p. Jankowski, niestety, nie poprzestał. Wytworny *causeur* i miły poeta zapragnął— w myśl utartego u nas zwyczaju — wtrącić swoje polityczne trzy grosze i wskazać Polakom ich rolę w zatargu dwóch rywalizujących na kresach Kościołów.

— Oto — powiada p. Jankowski — katolicyzm jest notorycznie słabszą stroną, a że podlega różnym ograniczeniom i zakazom, przeto winni stanąć przy nim, jak mur, wszyscy Polacy, nawet ci, co bynajmniej religijnym nie płoną zapałem!

Taki jest ostatni wyraz polityki *kurjerka*, która dotkliwe i trwałe piętno wyciska na fizjonomji przeciętnego ogółu...

Trudno o jaskrawszy giest donkiszoterji na tle tak posępnej, tak tragicznej sprawy, jak udział nasz w odwiecznym zatargu dwóch Kościołów.

* * *

Gdyby się nasza przeciętna opinja otrząsnęła raz z omotań atawizmu i afektu, toby dostrzegła, że istnieje coś, co bardziej niż kościół rzymski podlega „ograniczeniom i zakazom" i czego silniej strzec i bronić należy: interes narodowy i kulturalny polski.

I wiedziona li tylko zdrowym, prostym zmysłem politycznym — odgrodziła by się raz na zawsze od zakusów rzymsko-katolickiej na wschód ekspansji.

Tymbardziej, że z jednej strony, za sprawki Rzymu (*dobieritieś-ka do niewo*!) spadają na nas niezasłużone cięgi, a z drugiej — czeka nas nagroda, podobna do tej, jaką uzyskał Sobieski pod Wiedniem, czyli innymi słowy — afront.

Istotnie, dowiadujemy się ze *Słowa* (Nr. 156) że

w Rzymie krzewi się przekonanie, że Unja z obrządkiem wschodnim byłaby możliwą, gdyby nie Polacy, którzy „z pobudek politycznych są jedyną przeszkodą ku połączeniu obu Kościołów".

Tak jest! *Winni są Polacy!* Oni to „ze względów politycznych starają się utrzymać nienawiść pomiędzy Rzymem a cerkwią wschodnią"...

Bo przecież wiadomo, że Watykan ani na chwilę nie rozstał się z nadzieją powrotu skruszonej Schyzmy wschodniej na swoje łono... Tysiąc bez mała lat minęło od czasu, kiedy dwóch patrjarchów — rzymski i bizantyjski — w świętym gniewie miotało na się klątwy straszliwe wśród milczenia przerażonych narodów...

Odtąd nieraz myślano w Rzymie naprawić błąd zbytniego uniesienia; w tej myśli zwracał się, nawet w r. 1895-ym, papież Leon XIII do patrjarchy wschodniego, który te zabiegi uchylił dość opryskliwie.

Ukaz tolerancyjny w r. 1905 zbudził w Rzymie najróżowsze nadzieje; trudno wyobrazić sobie, jak dziecinnie lubują się w utopjach i mrzonkach ci „wytrawni" dyplomaci Kurji! Watykan poprostu majaczył: śniło mu się, że Ruś prawosławna ruszyła się nagle, że zrywa ze schyzmą i przyłącza się doń gromadnie, całymi guberniami...

Więc też poczęto na zbyt gorliwych i nieprzejednanych polskich katolików spoglądać niechętnie, jako na wielce kłopotliwą zawadę.

I zdarzyła się rzecz nieprzewidziana.

Jezuita Palmieri w książce niedawno wydanej *O Kościele rosyjskim* gorzkie czyni Polakom wymówki, że... „nie chcą wchodzić w żadne stosunki w Rosjanami, jako ze schyzmatykami i kacerzami".

To zdanie czerpie *Słowo*, jak pisze, z „kompetentnego źródła", dodając z łatwo zrozumiałą goryczą:

— „Ironja to losu prawdziwa, gdy nas w Rzymie przedstawiają, jako jedyną przeszkodę spełnienia się odwiecznego marzenia — a w Petersburgu z Polaków robią kierowników tej akcji".

I jeszcze stwierdza *Słowo*, że ilekroć szowinizm rosyjski wpadnie na ślad prozelityzmu rzymsko-katolickiego w granicach państwa — natychmiast brzemię mściwego odwetu spada na plecy... Polaków.

Spóźnione bardzo odkrycia czyni organ realistów, tym nie mniej poważny to z jego strony i śmiały krok, w porównaniu z płytką frazeologją *Kurjera Warszawskiego*, bo ten ustami swoich feljetonistów i poetów brukowych zaleca Polakom zapomnieć o własnych interesach i kruszyć kopje za Rzym... który sobie tego wyraźnie — nie życzy...

Szczerość o. Palmieri powinna ostudzić zapał bezmyślnych gorliwców, bo jeśli dobro swego kraju nie jest dla nich dostatecznym probierzem działania, to może będzie nim ów sposób, w jaki Rzym odpycha ich niewczesny i kłopotliwy zapał.

Może zgodzą się teraz, że Polska ma chyba własne kryterja narodowe, polityczne i kulturalne, że własnych ma prawo bronić interesów i o własny troszczyć się rozwój i dobrobyt, bez względu, czy się to w Rzymie podoba, lub nie.

I może kiedyś przyznają po cichu, że miał po stokroć rację Świętochowski, rzucając w zgiełk zażerających się na Chełmszczyźnie wrogich bractw kościelnych lapidarne i niezapomniane słowa:

„Opieranie sprawy polskiej, zarówno w jej całości, jak i częściach, na gruncie religijnym — należy do najfatalniejszych błędów naszej polityki".

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Nie przebrzmiały jeszcze echa noty rosyjskiej z powodu zatargów Turcji z Czarnogórzem na granicy albańskiej, gdy z kolei wystąpiły Austro-Węgry w urzędowym dzienniku *Fremdenblatt* z formalną interwencją w sprawie powstania Mirydytów. Jak słychać, gabinet wiedeński nie zamierza na tym poprzestać, i hr. Pallavicini, przedstawiciel Austrji w Stambule, stosowne odebrał instrukcje.

Jakoż istotnie, stan rzeczy w Albanji układa się w sposób dla Turcji niekorzystny. Mimo zwycięskich raportów Turguta paszy, stojącego na czele tureckiej „ekspedycji karnej", wątpliwą jest rzeczą, by ten wojowniczy i nieprzystępny górski kraj mógł-

3)

Leon Choromański.

ARJADNA.

(Dokończenie).

Za chwilę zacznie się wielka groźna uroczystość. Jeszcze jeden młodzieniec zejdzie w labirynt i tam potykać się będzie z Minotaurem. Napoły człowiek, na poły byk, czyli inaczej — człowiek, uwięziony w bydlęciu, zetknie się z człowiekiem. Piękna Ariadna żąda rękojmi... Oby człowiek okazał się dzielny i mężny, oby zwycięstwo było po stronie naszej! Złóżcie ręce, niewinne dziewczęta, przyciśnijcie kwiaty do waszych piersi falujących, pragnijcie z całego serca, aby zwyciężył człowiek!...

Szczęśliwszymi oczyma spojrzą gwiazdy na ziemię, jeśli Minotaurus, z pyskiem dymiącym purpurą krwi, legnie u stóp Nieznajomego... A jeżeli on zginie, o Arjadno? Ty pozostaniesz niewinną... I znów czekać będziesz nowego szaleńca... I znów przyjdzie inny szaleniec! O serce ludzkie! O tęsknoto! O serce kobiety, wiecznie żądne bohaterstwa!

N i e z n a j o m y. Żegnaj, Arjadno. Jestem szczęśliwy, że chcę i mogę przez ciebie i dla ciebie potykać się z Minotaurem. Jestem wywyższony ponad ludzi, jedyny w tej godzinie. Przyciśnij mnie do serca, zanim zejdę w labirynt.

A r j a d n a. Me serce głośno bijące będzie ci nicią, po której wyjdziesz z labiryntu, niosąc broczącą głowę Minotaura.

* * *

O, patrzcie, patrzcie! Gwałtowny wicher zerwał się, gdy człowiek wszedł w labirynt. Chmury zakryły słońce. Kurz sypie się na szaty nasze. Ariadna powiewa białą chustką. Jej ojciec, starzec z krwawemi oczyma, zgrzyta zębami. Co to za ryk? Czy to odgłosy burzy nadciągającej, czy wrzask Minotaura, który zwietrzył już bohatera?

* * *

być łatwo „uśmierzony". Stereotypowa srogość metod tureckich natrafia tu, jak kosa na kamień, na specyficzny hart półdzikich plemion, wdrożonych od setek lat do partyzantki i nie wiele mających do stracenia, bo nie mówiąc już o miastach, nawet wsi porządnie zabudowanych niema w tym kraju. W tych warunkach powstanie trwać może całe lata, kto zaś wie, jaką rolę odegrała Albania w dziejach panowania Turcji w Europie, ten łatwo pojmie, że rozbrat Arnautów z Turcją byłby dla państwa Osmanów klęską bardzo dotkliwą.

Z państw ościennych, najbardziej są w sprawie albańskiej zaangażowane Włochy i Austro-Węgry. Włochy marzą oddawna o zawładnięciu brzegiem dalmackim, to też wnet znaleźli się zapaleńcy z Ricciottim Garibaldim na czele, gotowi wyruszyć na Bałkany z pomocą powstańcom albańskim. Ze swej strony republikanin Chiesa w imieniu 11 posłów swojej grupy wystąpił w Izbie włoskiej z następującym wnioskiem:

„Izba domaga się, by rząd poczynił u mocarstw odpowiednie przedstawienia w celu zachowania § 23 traktatu berlińskiego w związku z wypadkami w Albanji".

Ponieważ traktat berliński formalnie już nie istnieje, przeto nie można nazwać udatną formy tej interpelacji, na którą odpowie margr. di San Giuliano w dniach najbliższych.

Daleko poważniejszą od włoskiej jest akcja austryjacka. Monarchja Habsburgów oddawna pełni rodzaj protektoratu moralnego nad Albanią w znacznej części katolicką; z drugiej znów strony niewątpliwie całość i siła Turcji leży w jej interesie od czasu pojednania po zaborze Bośni i Hercegowiny.

To też gabinet wiedeński we wspomnianej nocie *Fremdenblatt'u* przybrał ton szorstkiej ale przyjaznej wymówki za bezmyślnie srogie tłumienie ruchów albańskich, gdy pojednawcza łagodność w tym kierunku leży w interesie samej Turcji.

Jako następstwa rygorów Turguta-paszy wskazuje dziennik coraz dalszą i głębszą ekspanję powstania w głąb kraju, poczym dodaje:

„Być może, że ten zwrot obecny, i obecna podróż sułtana przyczynią się do wpojenia w rząd turecki przekonania o bezcelowości jego polityki względem Albańczyków w ciągu lat ostatnich. Być może, iż rząd turecki wreszcie pozna dobre zamiary i uzasadnienie rad, których Austro-Węgry ustawicznie nie szczędziły w Konstantynopolu. Te rady, uwzględniając stanowisko tureckie, żądające bezwzględnego uszanowania władzy państwowej tureckiej w Albanji, miały tendencję zasadniczą, że należy traktować właściwości odrębne plemion albańskich w sposób właściwy, lecz nie wzorem poprzedniego systemu absolutnego. Tutaj należało zastosować metody rządu rozumnego i prawdziwie liberalnego. Należy zatym naród albański przejednać, lecz nie należy go łamać. Skoro już rząd w Konstantynopolu nie mógł się wyrzec roku przeszłego tryumfów orężnych w Albanji, to byłoby przykazaniem mądrości i zrozumieniem własnego interesu samozachowawczego teraz uświęcić te tryumfy różdżką oliwną zabiegów kulturalnych. Te ostatnie przyczyniłyby się do utrwalenia tryumfów orężnych. Podniesienie dobrobytu gospodarczego, zakładanie szkół, pielęgnowanie kultury narodowej będą zawsze bronią najlepszą, mogącą związać na stałe Albanię z państwem osmańskim. Zalecaliśmy te środki i nie przestaniemy ich zalecać".

Jakiekolwiek mogą być w głębi zamiary rządu wiedeńskiego, jednak trudno odmówić słuszności wyłożonym powyżej wskazówkom. Istotnie, jeśli Turcja zdoła Albanję przejednać, wyjdzie z zatargu wzmocniona, jeśli zaś będzie chciała ją złamać — wykopie sobie grób. Każdy polityk pojmuje, że lojalizm albański będzie dla panowania Turcji w Europie pierwszorzędną podporą, gdy, przeciwnie, Albania wroga i jarzmiona może się stać dla Turcji achillesową piętą, siedliskiem ran śmiertelnych.

Listy z Galicji.

X.

Akcja wyborcza. Dr. Leon Biliński. Rada narodowa i jej polityka. Pozycja stronnictw. Wybór nowego prezydenta Lwowa.

Zbliżające się wybory mieć będą ogromne znaczenie dla całego państwa, a w szczególności dla Galicji. Nowy parlament mieć będzie do załatwienia kilka spraw bardzo doniosłych, takie, albo inne rozwiązanie których wywrze wpływ trwały na całokształt stosunków w monarchji. Dość tu wspomnieć o ubezpieczeniu społecznym, reformie podatkowej, nowym kodeksie karnym, kanałach i t. d.

Dla Galicji skład nowego Koła Polskiego zdecyduje o wielu doniosłych sprawach, zwłaszcza zaś o jednej, około której okręcają się inne, i bez zała-

---

A r i a d n a. Godziny suną jak żółwie. Jak strasznie dłuży się czas. Jakże się wloką ponure chmurzyska, przewalając z boku na bok, jak tłuściochy. Niema go... błądzi w labiryncie. Czemże jest labirynt? Czem jest potwór Minotaurus? Nie chcę myśleć o tem. Uspokój się, mój ojcze. Chciałabym odwrócić się od ojca, od wszystkich ludzi. Na godzinę jedną chciałabym być zupełnie samotną... Chciałabym się rozciągnąć wsród kwiatów. Słodka, kojąca jest ich woń, ich świeżość. Kiedy uklęknę i obejmę jaki narcyz biały i szepnę mu w ucho aksamitne: — kocham — jakże łagodnie mnie słucha. Nie pyta: poco? dlaczego? jak? czy naprawdę? Czy jesteś pewny, mój ojcze, że to zaryczał Minotaurus? Czy jestem siostrą tej jaszczurki, co tu pomknęła między kamieniami? Czy ten szary obłok, sunący cicho nade mną, jest moim bratem? Chcę się rozwiać, zagasnąć. Chciałabym zalśnić rosą na kwiatach — wzdłuż drogi, po której przejdzie rankiem Nieznajomy. Niech to tylko, że kwiaty będą piękniejsze, niż w inne rana, da mu poznać, że niema już Ariadny.

* * *

N i e z n a j o m y wynurza się z labiryntu:

O stary dudku! O zalotnico z pięknymi rękoma! więc to tak chcieliście mnie oszukać? O utrapione upiory przeszłości! Gdym wszedł w labirynt z sercem bijącym głośno — jakoby morze wieczne, nieukojone— z żądzą ognia, miecza i zwycięstwa, w oczekiwaniu mojej najwyższej godziny — poraził mnie blask świateł, które to rozbłyskiwały, to gasły — a ja z trudem— pośród wądołów, wilczych jam, odłogów, zielsk parzących, rowów, urwisk, wertepów — posuwałem się w różnych kierunkach, to zapadając w ciemność nieprzeniknioną, to ślepnąc niemal od osłupiającego światła, które dawało mi ujrzeć olbrzymie żółwie, pełznące leniwie po oślizgłych, zarosłych chwastami drożynach, owadki błyskliwe z wysuniętymi naprzód ryjkiem i oczyma płonącymi jak karbunkuły, mlecznobiałe tłuściutkie potworki, o ciele owalnym, na kusych nóżkach, które, zatrzymane przeze mnie wzrokiem, kręciły się w koło, usiłując schwytać wyszczerzonymi z pyska zębami własny ogon, a gdym się zbliżał — uciekały... Pogrążałem się niby w obręb pierzchającego szaleństwa. Nareszcie ujrzałem pysk Minotaura, jakoby ziewający, i ślepie bielmem zaszłe. Uderzyłem w ten pysk mieczem, myśląc, że zaryczy, że rzygnie ogniem. Lecz tylko kurz zadymił ze łba

twienia której żadna poważniejsza reforma w kraju przeprowadzona być nie może. O sprawie tej naogół, podczas akcji wyborczej głucho, nikt prawie o niej nie mówi, ani nie pisze. Leży to w naszej psychologji, że nie lubimy omawiać szeroko spraw drażliwych, że wolimy się łudzić, że „jakoś to będzie"....

Zwłaszcza w Galicji Wschodniej, pod tym względem, panuje zadziwiająca lekkomyślność. Należy się wdzięczność dr. Leonowi Bilińskiemu, że na wielkiem zgromadzeniu publicznem w Rzeszowie, w znakomitej mowie, w której bronił się przed robionymi mu zarzutami ze strony narodowych demokratów — poruszył kwestję ruską. Ten doświadczony polityk, znający, jak nikt inny może w dobie obecnej, teren wiedeński, mający ogromne stosunki w sferach decydujących, powiedział z wielkim naciskiem: że „spór polsko-ruski, w interesie kraju, narodu i państwa załatwiony być musi". Następnie zwrócił uwagę, że „niemal cała Europa, cały parlament kwestyę ruską tłumaczy przeciwko nam". Sędziwy mówca zrobił ciekawe wyznanie. Oto w r. 1909, kiedy był jeszcze gubernatorem Austro-Węgierskiego banku, odbywało się u niego kilkanaście posiedzeń z prezydjum Koła Polskiego i z przywódcami ruskimi. „Prawie wszystkie kwestję zostały załatwionę, mówił Bieliński, zabrakło tylko energji do przeprowadzenia całego planu ugody". Okazuje się, z tej mowy, że więc i p. Głąbiński brał udział w tych pertraktacjach, zmuszony do nich koniecznością. Cóż więc przeszkodziło doprowadzeniu jej do końca? Na to pytanie dr. Bieliński nie daje wyraźnej odpowiedzi, wskazuje tylko na pewną opieszałość p. Głąbińskiego (spowodowaną oporem p. Grabskiego zapewne. Uwaga autora korespond.), oraz na zaostrzenie się stosunków z powodu obstrukcji w sejmie. Ta ostatnia była jednak spowodowana głównie opornością w załatwieniu reformy wyborczej do sejmu.

Tak więc dr. Biliński wyraźnie skonstatował, że ugoda pomiędzy dwoma narodami zamieszkającymi Galicję — musi być przeprowadzona. Pragnie tego korona, pragnie rząd.

Już podczas obrad delegacji w Peszcie, cesarz wypowiedział znamienne słowa do niektórych delegatów polskich i rusińskich; widać z nich było, że nie jest zadowolony z sejmu galicyjskiego, że aprobuje taktykę klubu ruskiego w Wiedniu. Otóż nie ulega wątpliwości, że sfery wiedeńskie chcą koniecznie unormowania stosunków polsko-ruskich w Galicji, że uznają narodowe dążenia Rusinów i gotowe są je poprzeć. Czytelnicy *Prawdy* pamiętają, że ciągle zwracałem na okoliczność tę ich uwagę, wtedy jeszcze, kiedy nie było żadnych zewnętrznych objawów tej tendencji kół decydujących.

Namiestnik Bobrzyński, będąc gorącym zwolennikiem ugody polsko ruskiej, w akcji swojej podczas wyborów, za pomocą bloku, jaki zawarł (złożonego z konserwatystów zachodnio-galicyjskich, demokratów i ludowców), oraz wpływu moralnego, jaki posiada — usiłuje wytworzyć taki skład przyszłego Koła, któryby umożliwił zawarcie kompromisu Polaków z Rusinami. Ponieważ takiej polityce pojednawczej narodowi demokraci i podolacy stawiają przeszkody, więc zwalcza te stronnictwa. Dlatego też zwalczał kandydatury pp. Starzyńskiego i Kozłowskiego.

Polityka ta dr. Bobrzyńskiego nie jest należycie w kraju oceniona przez wszystkie żywioły demokratyczne, postępowe i radykalne. Rozumieją ją należycie szczupłe tylko koła ludzi znających się na sprawach politycznych. Ogół tych żywiołów po za konserwatyzmem dr. Bobrzyńskiego nic nie chce wiedzieć. Stare nałogi zwalczania każdego rządu, dlatego że jest rządem, każdego namiestnika, dlatego że jest jego przedstawicielem — utrudniają dokładne zrozumienie sytuacji żywiołom radykalnym. W polityce niema nic gorszego, jak operowanie kategorjami absolutnymi. Nic łatwiejszego jak wskazać, że każdy rząd ma swoje wady, że zawsze jeszcze trafiają się nadużycia. Zawsze jednak trzeba porównywać to, co jest, z tem, co było przedtem.

Praktyczny polityk musi się liczyć przedewszystkiem z tem, co w danym czasie i miejscu jest najważniejszo. Otóż nie ulega żadnej wątpliwości, że obecnie w Galicji narodowi demokraci i podolacy są największą zaporą na drodze wszelkich reform, że utrudniając zawarcie ugody polsko-ruskiej, uniemożliwiają przez to demokratyzację sejmu, reformę administracyjną i t. d. Dlatego też złamanie nacjonalistów i wschodnio-galicyjskich konserwatystów jest dziś najważniejszym problematem wewnętrznej polityki w kraju. Z tego też punktu widzenia oceniać należy politykę dr. Bobrzyńskiego, która chociaż jest konserwatywna, ale jest pod pewnym względem pożyteczna, gdyż prowadzi do osłabienia najgorszych żywiołów politycznych w kraju. W Radzie narodowej, która zatwierdza kandydatury poselskie, namiestnik ma przewagę, ale nieznaczną, tak, że nieo-

---

i głowa jękła głucho, jak pień zbutwiały. Przeszyłem na wylot bok potwora. Trociny sypnęły się z brzucha... Pochwyciłem go za róg i został mi w ręku ułamany, jak gałąź uschła. Krzyknęłem z gniewu! A wtedy labirynt rozwiał się jak oman. Znalazłem się na pustkowiu, w przykrej mgle żółtawej, wśród tu i owdzie rozsypujących się szkaradnie drobnych szkieletów. Taki to jest ten twój potwór Ariadno: już dawno zdechł on z głodu! Nie jesteś już zwycięzka, nie jesteś upajająca. Ach, śmieszna jesteś ty i twoje ręce... O stary świecie butwiejący, pełen fałszu, w którym nawet niebezpieczeństwo jest trupem! To, co dawniej żarło, błyskało ślepiami, ryczało, nacierało, rzygało ogniem — dziś pleśnieje bezwładnie, a rozprute — nawet nie zaskowyczy. Daj tę resztę dzieciom na zabawkę. Powiedz, Ariadno, jakim to cudem dotąd jesteś piękna? Wstąp do teatru, Ariadno! Tam właśnie potrzeba takich świeżych, jak twoje, ciał i tyle dobrze zachowanych pozorów!

A r i a d n a. Aaa... teraz mi się wszystko wyjaśnia: częste niepokoje bezpowodne i szmer w uchu, jakoby szelest podnoszonej kurtyny. Do teatru! To było zawsze moim marzeniem ukrytym. Przyroda jest za głęboka, może za niebezpieczna i zbyt milcząca... Doprawdy: nudna jest ona ze swym pyzatym księżycem i florą wiecznie jednostajną. Żegnajcie więc, ciemne bazalty, i ty pałacu mój, biała, marmurowa pustynio mego ducha... Teatr! teatr!... Sztuczne słońca! Gwiazdy na firmamencie z płótna! Pocałunki, które zdejmować będę z twarzy razem ze szminką! O kulisy, batysty, westchnienia kruche jak pianka na wodzie, lakierki, wstążki, koronki, szepty, ukłony, bukiety szybko więdnące, oklaski! O morze uczuć, wyciskających łzy na widowni, a tak lekko strawnych, tak mile znośnych, jak motyl, kiedy siądzie na ustach śpiącej dziewczyny. Chcę być krzykiem wszystkich kobiet na ziemi: królowych i nędzarek, czystych i rozwiązłych, chrypnących z głodu i chrypiących z rozkoszy. O, teatr! Jakże tam zalśnię, jak zakwitnę! Jak ja tam zatańczę wśród sztucznych ogni i mieczy tekturowych!

KONIEC.

becność paru jej członków już ją niweczy i zapewnia narodowym demokratom i ich sojusznikom głos decydujący. Ta niepewna większość tego ciała wpływa na jego chwiejność i na to, że w gruncie rzeczy, nikt prawie nie jest z działalności jego zadowolony. Tak np. w 7-miu wypadkach, ludzie uznający w zasadzie autorytet Rady, wbrew jego woli kandydują. Robią to i narodowi demokraci, którzy krzyczą najgłośniej o solidarności narodowej.

Właściwie Rada narodowa jest instytucją zgoła niepotrzebną. Nie usuwa wcale starć pomiędzy stronnictwami, a skład jej jest tego rodzaju, że uniemożliwia wszelką jednolitą celowo-planową akcję. Na czele Rady stoi półgłówek polityczny, Tadeusz Cieński, niby bezpartyjny poseł, a w gruncie rzeczy podolak i przyjaciel narodowych demokratów. Kto miał sposobność przysłuchiwania się jego mowom politycznym w sejmie, ten musiał uznać go za zupełnego „kretyna", którego każda zmiana przestrasza. Nic też dziwnego, że Rada mająca takiego prezesa, w zatwierdzaniu kandydatów na posłów porobiła szereg błędów oburzających, które ją też poważnie dyskredytują w oczach świadomych obywateli kraju.

Tak np. w III okręgu lwowskim, pod naciskiem narodowych demokratów, Rada zatwierdziła, przeciwko wielce utalentowanemu socjaliście polskiemu dr. Diamandowi — byłego pracownika tramwajowego, zupełnie ciemnego człowieka, znanego nawet policji i sądom z różnych brudnych spraw — Orensteina.

Nawet wśród wykształconych konserwatystów odzywały się głosy, że Diamand, będąc w klubie socjalistycznym, okazywał krajowi duże usługi, i że w przyszłości okazywać je będzie. Dla p. Grabskiego jednak nienawiść do socjalistów góruje po nad wszystkim.

Na szczęście można mieć nadzieję, że akcja narodowych demokratów i sjonistów, nienawidzących dr. Diamanda, nie będzie w stanie przeszkodzić wyborowi tak cennego posła, który zdumiewał w parlamencie najwytrawniejszych nawet posłów swoją znajomością spraw ekonomicznych kraju, oraz umiejętnością orjentowania się w sytuacji parlamentarnej.

Dr. Diamand przyczynił się potężnie do uregulowania spraw naftowych, jego też jest główną zasługą, przy współudziale posła ruskiego, także socjalisty, Witыka, wprowadzenie w Borysławiu, drogą pertraktacji, z właścicielami terenów naftowych,— 8-godzinnego dnia roboczego.

I takiego to posła p. Grabski, a za nim i Rada narodowa „chcą niedopuścić do parlamentu".

Drugim błędem Rady narodowej jest narzucenie, w okręgu wiejskim podlwowskim, kandydatury osławionego eksministra Abrahamowicza.

Rada narodowa wydała odezwę napuszoną, bardzo nietaktowną, rozdrażniającą socjalistów i Rusinów. Błędów jej różnych mógłbym wymienić bardzo dużo. Rada narodowa wykazała raz jeszcze swoją zupełną bezużyteczność.

We Lwowie wre namiętna walka wyborcza.

W okręgu I staje członek Polsk. Str. Post. p. Hipolit Śliwiński, członek klubu mieszczańskiego profesor Roszkowski, zupełnie nieużyteczny poseł, który zawsze tylko milczy, wreszcie lekarz, znany chirurg Rydygier, głośny ze swojej chciwości i brutalności członek stronnictwa chrześcijańskiego. Wybór p. Śliwińskiego zdaje się być zupełnie pewny.

W okręgu II toczy się ostra walka między „dzikim" posłem radykałem Breiterem, redaktorem *Monitora*, a p. Battaglia, członkiem demokracji polskiej, który niedawno opuścił szeregi narodowej demokracji. Pan Bataglia jest redaktorem i wydawcą wielkiego dziennika *Gazeta wieczorna* i *Gazeta poranna* (pismo to wychodzi dwa razy dziennie). Rezultat jest wątpliwy.

W trzecim okręgu stają dr. Diamand, mający największe szanse, Orenstein i sjonista Stand; w V-m narodowy demokrata Tomaszewski, członek Polsk. Str. Post. dr. Lisiewicz. Szanse dr. Lisiewicza są bardzo poważne. W VI okręgu socjalista Hauzner staje przeciwko narodowemu demokracie prof. Buzkowi; rezultat nie da się choć przewidzieć. W IV-m okręgu stają i minister Głąbiński i socjalista dr. Wyrostek, szansze byłego prezesa koła są nieco większe od jego przeciwnika, być jednak może że przyjdzie do wyborów ściślejszych. W okręgu VII narodowi demokraci w sposób gwałtowny, przy pomocy bojówki forsują prof. Chlamtacza przeciwko posłowi Hudecowi, socjaliście. Okręg ten jest przeważnie robotniczy i prawdopodobnie Hudec przejdzie; narodowi demokraci wyłudzają jednak podstępnie karty wyborcze, płacąc za nie dużo pośrednikom.

W Krakowie stają demokraci i socjaliści. Najgorętsza walka wre w dzielnicy Wesołej, w której staje Daszyński. Demokraci krakowscy robią wszystko (ładny demokratyzm), aby ten trybun robotniczy przepadł. Dzięki energji Daszyńskiego rząd centralny zabronił podczas wyborów robić przerw obiadowych, ułatwiających nadużycia.

W Rzeszowie odbywać się będzie walka między dr. Bilińskim, demokratą Karasiem i socjalistą Pflingerem.

Rusini stawiają licznych kandydatów. Partja narodowo-demokratyczna ruska robi jednak ten błąd, że nawet we Lwowie, gdzie niema żadnych szans przeprowadzenia swoich kandydatów, stawia ich we wszystkich okręgach, osłabiając przez to pozycję tych nawet posłów polskich, którzy, jak członkowie Polsk St. Post. albo socjal., godzą się na urzeczywistnienie ich najważniejszych postulatów w dobie obecnej.

Wybory pochłaniają masę energji i pieniędzy.

Liczba konserwatystów wzrośnie bardzo znacznie, podobnież i liczba ludowców (kierunku p. Stapińskiego) i demokratów polskich; narodowi demokraci stracą pewno 8, a może nawet 10 mandatów. Moskalofile zostaną pewno całkowicie pobici przez ukraińców bądź radykałów, bądź też narodowych demokratów; liczba socjalistów pozostanie pewno ta sama.

Radni miejscy lwowscy wybrali prezydentem stolicy p. Józefa Neumana. Jestto wybór jak najgorszy. Nowy prezydent jest człowiekiem zupełnie ciemnym i kołtunem „twardym". Należy on do tych, co najwięcej przyczynili się do zawarcia sojuszu z narodową demokracją. Jest to człowiek gburowaty, który kierować się będzie wyłącznie polityką koterыjną.

Część mieszczan lwowskich żałuje już, że klub mieszczański zawarł sojusz z narodową demokracją. Być więc może, że ta przyjaźń się rozchwieje.

Być może, że trybunał unieważni ostatnie wybory do Rady miejskiej, a wówczas nowe wybory mogą dać inny wynik.

Ludwik Kulczycki.

Zjazd lekarzy.

Na tle jałowego wegetacyjnego życia w dziedzinach społecznych, zdarzył się w tych dniach fakt niezwykły. Dn. 4-go i 5-go czerwca obradował w Łodzi pierwszy zjazd lekarzy prowincjonalnych z całego kraju, zwołany przez łódzkie Towarzystwo lekarskie z powodu dwudziestopięciolecia istnienia tej instytucji. Zjazd zgromadził przeszło dwustu lekarzy z różnych okolic kraju, nie licząc kilkudziesięciu lekarzy warszawskich oraz wielu miejscowych.

Pomimo względnie krótkiego okresu organizacyjnego, komitet urządzający zdołał zgromadzić 90 referatów zarówno z dziedzin specjalnych jak i ogólnych. Prace podzielono na trzy sekcje 1) medycyny wewnętrznej, 2) medycyny chirurgicznej i 3) medycyny publicznej. Ta ostatnia ogarnęła najszersze zagadnienia o charakterze wybitnie społecznym. Pierwszorzędne miejsce zajęła przedewszystkim sprawa szpitalnictwa w całym kraju; następnie sprawa pracy naukowej lekarza prowincjonalnego oraz jego gruntownego kształcenia w zakresie wiedzy medycznej, dalej — sprawa walki z chorobami zakaźnymi, następnie zadania lekarza w życiu społecznym i w wychowaniu szkolnym młodzieży, wreszcie sprawa bytu materjalnego lekarzy.

Pozatym poruszono wiele innych spraw żywotnych, jak organizacji pomocy lekarskiej w przemyśle fabrycznym, oraz rzeczoznawstwo lekarskie również w tej dziedzinie.

Sprawę reformy, wzmocnienia szpitalnictwa i uzdrowienia jego gospodarki postawiono na gruncie bardzo właściwym: reform ogólnych gospodarki krajowej. W sposób bardzo wyraźny i zdecydowany wypowiedział te poglądy dr. A. Jarosiński („O szpitalnictwie w gub. Siedleckiej"). Po sprawie szkolnej, do jednej z najważniejszych spraw oddawna oczekujących u nas reformy, referent całkiem słusznie zaliczył szpitalnictwo. „Gdy oświata stoi u nas jeszcze bardzo nisko i mamy wysoki odsetek analfabetyzmu (68 proc.), to w dziedzinie szpitalnictwa znajdujemy *potworne stosunki*". Ludność szybko wzrasta, szpitali jednak od szeregu lat nie przybywa, a nawet ubywa. Takie zjawisko daje się spostrzegać na całym obszarze kraju. W krajach kulturalnych szpitale cieszą się opieką społeczeństw i rządów; kraje te chlubią się liczbą oraz doskonałym urządzeniem swych szpitali, zawczasu obmyślają środki ku budowie nowych i rozszerzeniu starych.

U nas prawie nic się nie robi w tym zakresie. W Niemczech od r. 1876 do 1900, t. j. w ciągu 25 lat ilość szpitali wzrosła z 3,000 do 6,300 a ilość łóżek ze 140,900 do 370,000, t. j. przeszło się podwoiła. W Królestwie Polskim od r. 1867 do 1909, t. j. w ciągu 42 lat przybyło tylko 13 szpitali (przeważnie prywatnych fabrycznych.)

Aby się zrównać z W. Księstwem Poznańskim, które posiada 20 łóżek szpitalnych na każde 10,000 mieszkańców i pod względem szpitalnym jest ostatnią prowincją niemiecką, my przy 10,200,000 ludności w Królestwie musielibyśmy mieć 20,400 łóżek szpitalnych zamiast obecnych 6,051.

Do upadku naszego szpitalnictwa, jak zaznacza dr. Jarosiński, przyczyniło się wiele okoliczności: przedewszystkim brak w Warszawie centralnego organu, któryby miał na widoku szerzenie higjeny i opiekę nad zdrowiem ogółu; albowiem departament Medycyny przy Ministerjum spraw wewnętrznych w Petersburgu nie może się dostosować do wymagań i kulturalnych potrzeb krajów, wchodzących w skład obszernego państwa Rosyjskiego.

Następnie ogromną rolę w sprawie upadku naszych szpitali gra ta okoliczność, że społeczeństwo polskie usunięto od zarządu szpitalami. Dzisiejsze Rady Dobroczynności publicznej składają się prawie wyłącznie z urzędników i osób, mających niewiele wspólnego ze społeczeństwem miejscowym. Jeżeli zaś są pomiędzy członkami i miejscowi, to ci niewiele mogą dla dobra ogółu uczynić. Rady bowiem nie cieszą się zaufaniem naszego społeczeństwa.

W końcu dr. Jarosiński dochodzi do przeświadczenia, że upadek szpitali nie zależy od apatji naszego społeczeństwa. Przyczyna jest ta, że społeczeństwo stopniowo usuwane od wpływu na kierownictwo swymi sprawami wewnętrznymi, usunięte również zostało od możności oddziaływania na bieg spraw szpitalnych. „Powiem nawet, że upadek szpitali jest raczej objawem odporności naszego organizmu społecznego, który nie potrafi biernie poddać się z góry nakreślonym a niekorzystnym dla siebie planom"...

„Społeczeństwo rozumie, że sprawa ta jest bardzo ważna, prawie równoznaczna z podniesieniem oświaty; rozwój bowiem szpitalnictwa u nas ściśle jest złączony ze sprawą lecznictwa ludowego, z rozwojem higjeny krajowej. Społeczeństwo rozumie, że dobrze urządzony i wzorowo prowadzony szpital nietylko służy do leczenia chorego, lecz jest zarazem szkołą, w której w formie poglądowej stosowane są zasady higjeny".

O potrzebie reformy i o brakach szpitalnictwa mówili również inni lekarze, jak dr. Dehnel o stanie szpitalnictwa w Zagłębiu Dąbrowskim, dr. St. Trenkner o stanie obecnego szpitalnictwa w Łodzi, dr. Chodźko — o stanie opieki nad umysłowo chorymi w Królestwie Polskim, dr. J. Brudziński — o stanie współczesnego szpitalnictwa dziecięcego.

Ostatecznie sprawy szpitalnictwa sformułowano w następujących uchwałach zjazdu:

Podniesienie szpitalnictwa w Królestwie Polskim do poziomu współczesnych wymagań wiedzy lekarskiej może nastąpić jedynie przez zaprowadzenie samorządu ziemskiego i miejskiego w najszerszym zakresie. Tymczasem dążyć należy do pewnych zmian na lepsze w naszych szpitalach drogą inicjatywy prywatnej, przy pomocy energicznych usiłowań jednostek oraz wystąpień zbiorowych. Pod tym względem oddać mogą sporą usługę towarzystwa lekarskie przez rozpatrywanie spraw lekarskich na swoich zebraniach, przez wyszukiwanie i wskazywanie odpowiednich dróg do zmian na lepsze. Drogą inicjatywy prywatnej dążyć do zakładania w miastach powiatowych szpitali dziecięcych, z uwzględnieniem współczesnych wymagań wiedzy, mianowicie — specjalnych pawilonów dla chorób poszczególnych, osobniczych izolowań chorych oraz zabezpieczenia przed przeniesieniem zarazy do szpitali z zewnątrz przez osoby, odwiedzające chorych.

Podstawy naukowe szpitalnictwa psychjatrycznego w Królestwie Polskim powinny być opracowane przez odpowiednie zrzeszenia fachowe. Wobec tego wnioski d-ra Chodźki, dotyczące stanu opieki nad umysłowo chorymi w Królestwie Polskim, zjazd przekazuje komisji stałej zjazdów lekarzy prowincjonalnych z Królestwa Polskiego oraz komisji stałej zjazdów neurologów i psychjatrów polskich.

Jednocześnie poruszono sprawę zwiększenia liczby lekarzy szpitalnych oraz powierzania posad przy szpitalach lekarzom obeznanym z chirurgją.

Ze sprawą szpitalnictwa ściśle się wiąże sprawa nauki praktycznej młodych lekarzy, którą poruszył dr. Bronisław Sawicki, doskonale obeznany ze stanem rzeczy na Zachodzie Europy. Smutny bardzo obraz daje zestawienie warunków pracy klinicznej za granicą z warunkami u nas. Na Zachodzie praca dodatkowa lekarzy w klinikach i szpitalach jest nieodzownym warunkiem uzupełnienia wiedzy. Kto w Niemczech takiej praktyki nie odbędzie w ciągu roku, nie może posiąść dyplomu.

U nas warunki pod tym względem są wprost opłakane. Referent nie radzi czekać na samorząd, do którego nie ma zaufania, ale zaleca robić, co się da w tej mierze. Mianowicie, proponuje połączyć obowiązki asystentów oddziałowych z obowiązkami obecnych lekarzy miejscowych, dać pierwszym odpowiednie utrzymanie, rozdzielić ich po oddziałach; dać szpitalom te urządzenia, które są niezbędne ze względu na leczenie chorych oraz ze względu na potrzeby naukowe asystentów (odpowiednie laboratorjum, bibljoteki i t. d.). Do wprowadzenia reform jest przedewszystkim powołana Warszawa, ponieważ tu szpitale już przeszły pod zarząd miasta. Warszawa posiada obecnie tylko 24 asystentów, gdy potrzeba ich przynajmniej 120 (na

3,000 łóżek). Również należy takie reformy wprowadzić na prowincji. W ten sposób asystenci — płatni będą mieli zabezpieczony byt i naukę praktyczną.

Bardzo ważną sprawę walki z padaczką w Królestwie Polskim poruszył dr. Łuczycki z Łodzi. Jeżeli sobie uprzytomnimy, jaka masa ludzi, zwłaszcza w warstwach ubogich, jest dotknięta epilepsją, jak wielką niedolę ludności oni stanowią, ocenimy całą doniosłość tej sprawy. To też na baczną uwagę zasługują wnioski referenta, które, niestety, nie weszły do uchwał zjazdu, a należało wprowadzić je tak, jak brzmią poniżej:

1) Położenie chorych podatkowych w Królestwie jest ciężkie a walka z padaczką prawie niezaczęta. 2) Padaczka rozszerza się i śmiertelność wskutek niej wzrasta. 3) Brak u nas dotkliwy ściśle naukowej statystyki padaczki. 4) Brak specjalnych zakładów do leczenia, pielęgnowania i wychowywania epileptyków. Wobec tego należy: 1) walczyć z kiłą i alkoholizmem; 2) stosować wszechstronną profiltaktykę; 3) otwierać specjalne zakłady dla epileptyków; 4) opracować specjalny typ zakładu; 5) rozważyć kwestję w sekcjach neuropatologicznych i na ogólnych zjazdach lekarskich.

Doniosłą sprawę poruszył dr. J. Idzikowski z Pruszkowa: o działalności kulturalno-higjenicznej lekarzy szkół początkowych. Higjena szkolna, zdaniem referenta, powinna być oparta na podstawach naukowych, aby jej technika mogła coraz bardziej się udoskonalać, aby w praktyce coraz szersze mogła mieć zastosowanie. Pod tym względem wiedza nauczyciela i lekarza powinna zespolić się. Dotyczy to szczególnie szkoły początkowej po wsiach i miasteczkach, gdzie lekarz jest jednym z nielicznych przedstawicieli nauki, posiada często dostateczną wiedzę peeagogiczną, a przynajmniej zainteresowanie i zrozumienie jej najważniejszych zagadnień. Działalność lekarza szkolnego winna być rozwijaną w dwu kierunkach: 1-mo ogólnym, gdy chodzi o walkę z przeciążeniem szkolnym (rewizja programów, metod i planów szkolnych), o ogólne warunki higjeniczne, jak powietrze, światło, ćwiczenia fizyczne; 2-do w kierunku specjalnym, gdy chodzi o stan zdrowia dzieci poszczególnych, indywidualną zdolność do pracy i odporność na dany poziom wymagań szkolnych. W tych celach konieczne są: udział lekarza w opracowywaniu programów szkolnych, obserwacja dzieci podczas ich zajęć (na lekcjach) i zabaw, badanie ich stanu fizycznego i psychoanaliza.

Sprawę tę, jako zasadniczą, sformułowano w następującym punkcie uchwał zjazdu:

Zalecić należy gorąco lekarzom prowincjonalnym wzięcie w opiekę szkół początkowych przez wejście do rad szkolnych, przez czuwanie nad warunkami higjenicznymi szkół, przez usuwanie wad fizycznych, uniemożliwiających dzieciom pracę umysłową i hamujących ich rozwój. Wytworzenie opieki lekarskiej w szkołach początkowych, za przykładem nielicznych szkół prywatnych jest nadzwyczaj pożądane, ze względu na doniosłe znaczenie opieki lekarskiej w podnoszeniu kultury młodych pokoleń.

(d. n.) *Zenon Pietkiewicz.*

Literatura niemoralna a mistrzowie cnoty.

I.

Żydzi starożytni mieli zwyczaj obarczania wszystkimi grzechami swymi kozła, którego wypędzano w następstwie na pustynię, gdzie czekała go zagłada. Śród społeczeństw dzisiejszych rolę owego kozła ofiarnego wyznacza się — literaturze niemoralnej. Na nią składa się całe brzemię znieprawienia, trawiącego zdrowie i siły duchowe pokoleń współczesnnch. Pornografja, wedle sądu opinji, jest ową hydrą, pożerającą krew i mózg narodu. Obok zaś pornografji, w tymże wyroku opinji, zazwyczaj podziela los skazańca także akoholizm.

Nic dziwnego! Ludzie, którzy zamykają się w swym uporze, jak w ciemnicy, aby nie widzieć przyczyn *istotnych*, muszą z konieczności wynajdywać przyczyny *sztuczne*. Jednym z rzeczywistych czynników wzmożenia się zbrodniczości instynktu śród młodzieży, jest rozbicie rodziny oraz anarchja, jaka zapanowała w wychowaniu. Wszelako napróżno żądalibyśmy trzeźwego rozumowania od ludzi, oślepionych przez fanatyzm.

Ongi skłaniano się ku dowodzeniu, że źródłem występku jest brak oświaty pierwiastkowej. Jako motyw rozstrzygający, przytaczano fakt, że większość zbrodniarzy należała do analfabetów. Łatwo atoli zrozumieć, że, jeśli pośród ludności, składającej się w przeważnej części z analfabetów, wybierzemy na chybi-trafi pewną liczbę jednostek,to większość śród nich stanowić będą analfalbeci „Otwórzcie szkoły, — powiadano, — a będziecie mogli zamknąć więzienia!" Od owego czasu, otwarto mnóstwo szkół, więzienia jednak nie znikły. Rzecz jasna, może tu być mowa tylko o krajach Europy Zachodniej; u nas bowiem, w Królestwie, na podobne doświadczenia społeczne, nie było miejsca. Co więcej, samo krzewienie oświaty uchodziło za działalność występną, ściganą prawem: niejednokrotnie,mianowicie, otwarcie szkoły wiejskiej, trza było okupywać — karą więzienia. Rząd rosyjski jedynym był zapewne rządem w świecie, który *abecadło* uznał za artykuł niebezpieczny dla państwa, ograniczając jego rozpowszechnienie tak, jak ogranicza się rozpowszechnienie prochu, dynamitu lub bawełny strzelniczej.

Urządzenia oświatowe u nas pozostawiają wiele do życzenia, nie posiadamy tedy podstawy dostatecznej dla sądu o rzeczywistym, życiowym wpływie poziomu wykształcenia na stan moralny. Istniejące zboczenia moralne tłomaczyć można, tymczasem, równie dobrze brakiem oświaty, jak jej wadliwością.

Rozgłośne zbrodnie, które w ciągu lat ostatnich wstrząsnęły świadomością ogółu, świadczą, bądź co bądź, że sprawcami rzeczy potwornych — bywają nietylko analfabeci. Oświata przeto nie jest wyłączną rękojmią moralności.

Mimo to, sofizmat ów, obarczający całą sumą istniejącego zła pewien przejaw życiowy, dostatecznie rozpowszechniony, utrzymuje się nadal. Tylko „kozieł ofiarny" uległ zmianie. W niektórych krajach większa część ludności oddaje się nałogowi pijaństwa; wybierzmy na ślepo, w takim kraju, jakąś liczbę jednostek, a napewno większość z uich okaże się alkoholikami; wówczas, jeśli grupę ową cechować będzie, dajmy na to, właściwość A, gotowi będziemy orzec, że właściwość A jest wynikiem alkoholizmu.

Dwóch młodych bandytów popełnia na wsi morderstwo, wyrzynając całą rodzinę chłopską. Okazuje się że obaj złoczyńcy stykali się z romansami kryminalnymi. Wprawdzie trudno, aby było inaczej, ponieważ w danej chwili wszyszcy młodzieńcy pochłaniali tego rodzaju utwory; okoliczności tej nie bierze się jednak wcale pod uwagę, i wyrokuje się stanowczo, że przyczyną zbrodni stało się ta właśnie literatura „kryminalna".

W następstwie zmienia się cokolwiek wniosek, i już mówi się nie tylko o tej zbrodni w szczególności, ale o zbrodniach w ogóle. Skoro wstąpiliśmy na tak piękną drogę, po co się mamy zatrzymywać? W nadmienionym wypadku zbrodni, pornografja nie odgrywała żadnej roli; nic to jednak nie pomoże: ogół wmięsza ją do sprawy. Ogół uczyni więcej: mówić będzie

odtąd wogóle o literaturze niemoralnej. W taki to sposób wyrasta twierdzenie: pewna część zbrodni jest wynikiem literatury niemoralnej i kryminalnej.

Dodajcie do tego, że prawie całkowita reszta występków pochodzi z alkoholizmu, i patrzcie, jak łatwą rzeczą staje się wytępienie przestępczości! Aby osiągnąć ten zbawienny skutek, wystarcza zabronić sprzedaży utworów niemoralnych i kryminalnych, tudzież napojów wyskokowych.

Nie koniec na tym. Wrpaniałe to rozumowanie przedstawia ponad to wiele innych korzyści. Pozwala nam stawać w obronie wszelkich trybów organizacji społecznej, jakie dla nas będą dogodne. Nic złego zarzucić im nie będzie można, ponieważ wszystko zło pochodzi z pornografji oraz alkoholizmu.

Pozbądźmy się dwóch tych plag, a natychmiast powróci wiek złoty. Człowiek, z natury, bywa dobry; myśliciele XVIII st. przekonywali nas o tem dość wymownie; bez trucizny wyskowej i bez literatury niemoralnej, osiągnąłby on niechybnie doskonałość.

W niedalekiej atoli przeszłości, przed upowszechnieniem sztuki drukarskiej, lud nie stykał się wcale z piśmiennictwem; czy sądzicie, że wówczas zbrodnie zdarzały się rzadziej niż obecnie? Czyżbyście nie mieli nigdy w ręku jakiejkolwiek kroniki z czasów średniowiecza?

Istnieją ludy, składające się z wiernych wyznawców Islamu, którzy nie używają napojów wyskokowych w żadnej postaci. zali myślicie, że niema pośród nich ludzi występnych? czy wyobrażacie sobie, że jednostka pośród nich większym cieszy się bezpieczeństwem, niż we Francji? Albożnie czytaliście żadnych notat z podróży?

Ale przewrotny stosunek ogółu wobec obu tych zjawisk, będący pospolitym oszustwem ideowym, sięga wprost granic obłędu wówczas, gdy czyniąc wszystko aby zdeptać, spaczyć i pokalać poczucie religji, sprawiedliwości, patrjotyzmu i etyki społecznej, ciż sami ludzie wyobrażają sobie potym, że wskrzeszą pognębione uczucia *przez zaaplikowanie kilku miesięcy kozy* tym i owym autorom, których wina cała polega na jasnym wypowiedzeniu tego, co przykład i wychowanie usiłuje zaszczepiać młodzieży i co życie samo nieustannie nastręcza i podszeptuje dorosłym.

Jakże *wielka* nawałnica oburzenia i zgrozy rozegrzmiała w naszym *małym* światku, gdy ukazały się „Dzieje grzechu" Żeromskiego! Autora stawiono natychmiast pod pręgierz gniewu i potępienia. Jakże śmiał on obnażać *hańbę* upadku ludzkiego przed oczyma tych, którzy wielkość swą opierają na sponiewieraniu istoty ludzkiej w innych? Bohaterka powieści, jawiąca się zrazu, jako postać anieliczna, o duszy mieniącej się w oczach barwami nieba i światła, a kończąca potym życie jako dziewka publiczna, zżarta syfilisem ulicznica, musiała wydać się upiorem, z piekła podziemi społecznych wywołanym na światło oczywistości. Ci sami, którzy stojąc na czele przedsiębiorstw lub instytucji, uprawiają latami system rozgniatania godności ludzkiej swych pracowników, mechanizowania ich woli, ich myśli, trzebienia w nich wszelkich aspiracji ku temu, co ludzkie, co twórcze, co samoistne, ci sami oburzali się niewolniczą uległością Ewy Pobratymskiej. Ci którzy szyderstwem i zniewagą osaczają dziecko nieślubne i jego nieszczęsną matkę, skazując oboje na banicję społeczną, rozdzierali szaty z powodu dokonanego przez nią dzieciobójstwa. Ci, którzy płacąc dziewczętom 12 lub 15 rb. mies. za pracę całodzienną w magazynie, każą im jednocześnie *błogosławić* tę pracę, jako ostatnią ostoję życia i — czci, manifestacyjnie gorszyli się nieporadnością i rezygnacją, z jaką Ewa bezwolnie zstępowała ze szczebla na szczebel aż na samo dno otchłani.

Opinja nasza nie włada w Królestwie aparatem sądowym; nie mając możności zastosowania względem autora *rygorów prawnych*, poprzestano na rygorach *społecznych*. Inaczej atoli rzecz się ma w Galicji; tam władza sądowa pozostaje we władaniu opinji narodowej; prokurator galicyjski ma uosabiać obrażone sumienie kraju: to też widzieliśmy jaki grad konfiskat posypał się na rozpoczętą przez Daniłowskiego powieść w lwowskim tygodniku *Życie* p. n. „Marja Magdalena". Poprzednio skonfiskowano tam sądownie szereg wydawnictw A. Niemojewskiego. Co u nas w Królestwie pozostaje w stanie intencji, to tam, w kraju wolności, realizuje się czynnie. Niestety, *wolność* owa wyraża się najdobitniej w konfiskowaniu *wolnej myśli*, czyli w dobrowolnym właśnie zacieśnianiu wolności i samorzutności przekonań. [1])

Smutne to zjawisko, tym smutniejsze, gdy się je na gruncie rodzimym spotyka, nie jest jednakże naszym wyłącznie udziałem. Prąd ograniczania wolności, krępowania jej za pomocą tysiącznych zastrzeżeń, uwydatnia się coraz znaczniej i w innych krajach europejskich. Po szybkim ruchu postępowym w kierunku reform wolnościowych w ciągu pierwszych sześciu lat dziesiątków w. XIX nastąpił jakoby przełom niepostrzeżony a żywiołowy, który odwracając falę dążeń powszechnych, jął cofać państwa i narody na drodze dokonanych podbojów w dziedzinie swobód politycznych, społecznych oraz ideowych. Aczkolwiek początkowa fala owej „ewolucji wstecznej" sięga prawdopodobnie jeszcze ery pierwszych zwycięstw Bismarka, nic nam nie daje rękojmi, że dziś dobiega już kresu jej fala ostatnia.

Wróżyć raczej możnaby przeciwnie.

Zwrot ów jest tak znaczący, że coraz baczniejszą uwagę zwracają nań ludzie, którym sprawa jaknajwszechstronniej pojętej wolności leży na sercu. Człowiek pospolicie posiada w sobie zdolność nieograniczonego przystosowania się do warunków. Potrafi żyć nawet na pustyni, nawet — w niewoli i nawet — w lochu. Wlecze za sobą łańcuch — i żyje; przestał czuć, myśleć, pragnąć — i żyje; stanie się zwierzęciem i — żyje!

Człowiek zazwyczaj niczego tak łatwo, tak lekko się nie wyrzeka, jak swej swobody duchowej, jak możności stanowienia o sobie i odpowiedzialności za samego siebie, t. j. tego właśnie co stanowi w nim koronę człowieczeństwa, albowiem koronę tę dźwigać on musi w trudzie i w znoju po ścieży stromej, wiodącej wzwyż ponad przepaściami.

Ale wolność i oparta na niej wiara w człowieka także jest religją, i — jak inne religje — posiada wybrańców swych i apostołów. Rodzą się ludzie obdarzeni szczególnym zmysłem niepodległości, podobnie jak bywają inni uposażeni w niezwykłe poczucie piękna, sprawiedliwości, pracy, lub pożytku. Są oni tak samo wrażliwi na wolność, na jej formy, granice zmiany i nastroje, — jak np. artyści na zakres i formy realizującego się piękna. Jak orły, kochają się oni w wyżynach i żyć mogą tylko w szerokim przestworzu. Wolnością oddychają jak powietrzem, i pełnią oddechu mierzą pełnię wolności. Wszelkie pomniejszenie swobody zbiorowej, wszelki wyrządzony jej uszczerbek odczuwają instynktownie jako niepokój ducha, jako udrękę osobistą, niemal poznają je po biciu serca. Oni to pierwsi, w takich chwilach, rzucają alarmujący swój okrzyk w gnuśną, zobojętniałą ciszę rezygnacji. Pierwsi wskazują niebezpieczeństwo i sercem własnym biją na trwogę w dzwon ludzkości.

Takim głosem alarmu, podjętym u zagrożonych granic wolności, jest książka włoskiego pisana Vilfreda Pareto, [2]) ekonomisty i socjologa, książka poświę-

---

[1]) Warto przypomnieć sobie, że po wykryciu zbrodni na Jasnej Górze, jedna z klerykalnych gazet galicyjskich miała odwagę przypisać tę moralną katastrofę wpływom działalności pisarskiej Żeromskiego!

[2]) *Vilfredo Pareto*: „Le mythe vertuiste et la literature immorale". Paris 1911.

cona rozpatrzeniu represji stosowanych w dziedzinie literatury na tle ogólnej reakcji, jaka wstrzymała a nawet cofnęła pod względem wolnościowym rozwój Europy, począwszy od lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia.

W. Rzymowski.

BADANIA NAUKOWE.

Cyfry i fakty Polski współczesnej w świetle badań.

(Z powodu książki p. I. Grabca: „Współczesna Polska w cyfrach i faktach". Kraków. „Życie".

P. I. Grabiec wziął na się zaprawdę trudne zadanie, bo ni mniej ni więcej w książce małej postanowił przedstawić: „Współczesną Polskę w cyfrach i faktach". Różni się tym od poprzedników swoich, w ostatnich czasach, od prof. Milewskiego („Zagadnienie polityki narodowej"), hr. Wojciecha Dzieduszyckiego (Dokąd nam iść wypada"), wreszcie Wł. Studnickiego („Sprawa Polska"), którzy nietyle ujmowali fakty i cyfry, ile raczej wskazania dawali narodowi, którędy ma pójść, aby zdobyć możliwe maximum rozwoju, owszem p. J. Grabiec ma jedną niewątpliwą zaletę: stara się grupować materjał, gdzieindziej i przez kogo innego opracowany, i ten podać czytelnikowi albo bezpośrednio, znaczy się bez oceny i wniosków, albo ukształtowany w duchu, wprawdzie pewnych poglądów, jednakże nie na tyle, by czytający nie mógł samodzielnie pójść drogą takiej lub innej oceny, by, słowem zostawał pod tak silnym wpływem i nieledwie suggestją, jak np. czasem w niektórych kartach gorąco pisanej książki Wł. Studnickiego. Z drugiej jednakże strony zadanie i stanowisko autorów powyższych było, zasadniczo rzecz biorąc, słuszniejsze, a raczej „łatwiejsze" do przeprowadzenia. Jasnym jest bowiem, że jeśli w doskonałej skąd inąd dwutomowej książce Bujaka p. t. „Galicja", tyczącej się jednego tylko zaboru, zabrakło miejsca i czasu do rzetelnie dokładnego opracowania wielu kwestji, zjawisk i gałęzi życia kulturalno-gospodarczego „Polski galicyjskiej", jeśli i tam zdobyto się jedynie na *syntetyczne*, dalekie od szczegółowości *zarysy* całokształtu stosunków, to o ileż szersze i głębsze zarazem podstawy musiałby p. Grabiec nadać swemu dziełku, gdyby chciał wszystkie dzielnice Polski w jej wszystkich czy główniejszych przejawach oddać, ocenić i wysnuć wnioski na przyszłość! A tak szeroko i głęboko jednakże zakreślił granice swej pracy! I powiedzmy odrazu: *w granicach i rozmiarach książki* wyszedł i tak obronną ręką. Ale tylko w tych granicach! Poza tym — właśnie w zestawieniu „faktów i cyfr" p. Grabiec trzymał się metody przytaczania tego, co zdaniem jego było najważniejszym, stąd mimo cechującą go objektywność, zmuszony był pominąć cały szereg kwestji a raczej szczegółów w nich istniejących i niewątpliwie dla oceny „współczesnej Polski" znamiennych.

I.

Opisując i oceniając Galicję — autor przyznaje słusznie, że Galicja jest krajem przeważnie rolniczym. To jednakże nie przeszkadza mu zgoła kwestji rolnej w Galicji, a raczej własności chłopskiej w rozdziale, zatytułowanym obiecująco: „Królestwo Galicji i Lodomerji" poświęcić 20 wierszy, ostatecznie nie błędnych, ale rzecz prosta nie mogących rościć sobie żadnych pretensji do bogdaj powierzchownego ujęcia rzeczy. A o tej kwestji rolnej w Galicji, o tej prężności chłopa galicyjskiego, który rok rocznie, mimo warunki ujemne rozwoju go podarczego i kulturalnego, mimo niesłychane trudności i braki wszelkiej organizacji parcelacyjnej i kredytowej, skupuje i dokupuje ziemi, swój stan posiadania statecznie pomnaża, o tej niewątpliwej w porównaniu z latami dawniejszymi „tendencji rozwojowej" śród włościaństwa polskiego „cyfry i fakty" p. Grabca milczą — lub jej co najwyżej ogólnikami świadczą—nic nie mówiącymi. A przytym „kwestja agrarna", ściśle z nią związany ruch parcelacyjny, nie jest zjawiskiem specyficznie galicyjskim, owszem już Zjazd prawników i ekonomistów z r. 1906 w Krakowie na odbytej po referacie d-ra Stan. Grabskiego dyskusji stwierdził, iż jest to w całym słowa znaczeniu zjawisko międzynarodowe, polskie a nie dzielnicowe jeno. Parcelację, w takich jak się dziś ona przejawia formach, widzimy może jedynie w Polsce i nigdzie poza nią nie przybiera ona tak żywiołowych rozmiarów, tak nieomylnej pewności i niezachwianego dążenia do celu, zakreślonego ręką pewną — bo ręką życia i przyszłości ludu polskiego. Kwestja parcelacji polskiej, choć zjawisko ściśle gospodarcze, jednakże przez swą bezprzykładną powszechność i intensywność stała się kwestją, wybiegającą daleko poza sferę interesów jednej klasy ekonomiczno-zawodowej, owszem stoi ona w związku z życiem narodowym, jego strony nietylko gospodarczej ale i kulturalnej; od jej rozwiązania, czy raczej pokierowania po linji tej lub innej, zależy, czy punkt ciężkości tego życia przejdzie na „nowe" warstwy i nowe siły, zależy taka lub inna polityka narodowa, jej wskazanie i cele.

Mieliśmy już sposobność na tym samym miejscu i gdzieindziej [1]) zaznaczyć, że są pewne zjawiska par excellence gospodarczej natury a jednakże o znaczeniu ogólno-społecznym, czy narodowym w tym słowa rozumieniu, że ich powstanie, rozwój i przebieg musi być na tle owego życia ogólnego badany i co więcej— oceniany. Takim zjawiskiem w pierwszym rzędzie jest kwestja agrarna, znamionująca się u nas ruchem parcelacyjno-emigracyjnym wśród sfer włościańskich.

Ustrój agrarny Polski całej, dążył siłą pełną do stosunków dzisiejszych. Rzadko kiedy w naukach społecznych doszło się do tak jednolitego poglądu na zjawiska, o których mowa jest w tej mierze: nie mamy prawie zupełnie w Polsce własności *średniej* ziemskiej, (od 20 h — 100 h) t. j. *wielkokmiecej*, tej która na Zachodzie zajmuje mniej więcej 30 proc. obszaru, a która jest łącznią między wielką własnością a drobną chłopską, przenosząc z pierwszej na wtórą wzory gosgospodarki racjonalnej i niejednokrotnie nawet wpływ kulturalny. W Galicji wszak dużym, „średnim" gospodarstwem chłopskim, jest gospodarstwo zaledwie 7—8 morgowe, w wielu zachodnich prowincjach i krajach już tylko drobne, jeśli nie parcelowe zgoła. Naprzeciw majątków wielkich (wyżej 100h.) przeważnie latyfundjalnych, stoją gospodarstwa chłopskie, na ogół wiecznie się wahające między egzystencją samoistną, a już tylko dorabiającą, znaczy się zdaną głównie na zarobek rolniczy lub przemysłowy pod miastami i osadami fabrycznymi.

Każdy podział gospodarstwa 7—8 morgowego w Galicji, więc takiego, które *jeszcze* zdoła utrzymać rodzinę chłopską, zajmując ją zupełnie pracą nad rolą i domem, prowadzić musi do ostatecznego „rozbicia" gospodarstwa i naszych rzesz włościańskich, które spadają na skutek podziału ziemi między 3—4-ro lub więcej dzieci do rzędu *zarobników*, osiadłych na roli czy raczej skrawku ziemi o 2 czy 2½ morgach, nie mogących oczywiście już ani wyżywić chłopa ani zająć rodziny jego w gospodarstwie. Prowadzi to w konsekwencji do *zaniedbania* gospodarki, którą

[1]) Patrz w dodatku literacko-naukowym do „Dziennika poznańskiego" artykuł p. t.: „Świadomość narodowa i jej socjologiczne podstawy".

wszak zająć się nie może robotnik rolny sezonowy lub stały, i zarobnik czy robotnik dziennie zajęty przy robotach ziemnych lub fabrycznych; w Galicji zwłaszcza w odleglejszych od miasta stronach wyradza to istotną dla naszych stosunków nowoczesną *glebae adsciptio* chłopa polskiego, który nie mając sposobności zarobku gdzieindziej, więc w przemyśle (dopiero w zaczątkach!) i tracąc go (zresztą bardzo lichy!) we dworach okolicznych, ulegających parcelacji, zmuszony jest wszelkimi siłami „tkwić" i uparcie się trzymać swego skrawka ziemi, absurdycznie czasem drobnego. W tych warunkach, możliwie ujemnych, parcelacja majątków większych jest jedynym ratunkiem, zasadniczej natury, dla chłopa polskiego. Nie chcąc i nie mogąc spaść do rządu proletarjatu, szukającego jak w Galicji nieraz bezkutecznie zarobków w miastach, pozbawionych przemysłu i wielkich przedsiębiorstw, emigruje chłop polski i za uzyskane w Ameryce lub na „saksach" pieniądze kupuje, a raczej dokupuje do swoich 2—3 morgów jeszcze jeden lub dwa morgi, by potym znów przy nadarzającej się sposobności zdobyć jeszcze ½ morgi lub morgi i dorównać gospodarczo swemu ojcu i rodzinnemu majątkowi.

Sprawia ten ruch parcelacyjny i z nim się łączący żywiołowy zakup ziemi przez chłopstwo polskie: brak własności *średniej* wielkokmiecej. Gdzieindziej, na Zachodzie, gdzie ta kategorja własności jest silnie reprezentowaną, tam przebieg rzeczy jest gruntowniejszy, tam *ze wsi*, z tej właśnie kategorji średniej własności ziemskiej wychodzi rok rocznie poważny zastęp ludzi, który kształcąc się w mieście w szeregu zawodów i przedsiębiorstw, następnie opuszcza na stałe wieś i warsztat rolny i tworzy *mieszczaństwo* drobne i średnie, majątek ojcowski pozostawiając nieuszczuplony i niepodzielony jednemu ze synów obejmującemu gospodarstwo. „Średni" właściciel chłopski ma wszak środki celem kształcenia swych dzieci, na co z reguły nie może sobie pozwoli chłop 5—6 morgowy. Stąd prężność chłopa na Zachodzie w kierunku zdobywania *za wszelką cenę* ziemi, jest absolutnie i stosunkowo słabsza, niż u polskiego, gdyż istniejąca w wielkiej czy znacznej ilości średnia własność ziemska umożliwia chłopstwu tamtejszemu kształcenie dzieci w zawodach i przedsiębiorstwach pozarolniczych a tym samym sprawia zdrowy, stateczny *odpływ* ludności ze wsi. Tego naturalnego odpływu w Polsce materjału ludzkiego ze wsi, odpływu nie sezonowego i zarobkowego, ale trwałego i „na zawsze" u nas nie masz, i to właśnie sprawia, że chłop polski w wiecznym, „zajadłym" szukaniu ziemi, w ekspansji swojej napotkać musiał *folwark* szlachecki, dziś już często nie w szlacheckich rękach pozostały, i ten rozparcelował, płacąc za ziemię takie ceny, jakich by bez parcelacji, nigdy nie można było uzyskać w warunkach normalnych.

Chłop 3—4 morgowy, lub nawet 7—8 morgowy płaci za ziemi morg jeden, który chce na adjakcyjnej parcelacji (w odróżnieniu od zasadniczej) dokupić do swojej dawniejszej własności, stosunkowo nierównie więcej, niżby to z jego kalkulacji gospodarczej, wynikać mogło. Oblicza on bowiem koszta prowadzenia gospodarstwa *całego*, a nie morgi dokupionej, którą w związku z całością, tymi samymi narzędziami, tym samym sprzężajem, tą samą robocizną etc. uprawia. Stąd przy *takim* obliczeniu, może on płacić te nieprawdopodobne ceny za ziemię, których świadkami jesteśmy od lat kilkunastu. Lecz ta *wysokość* chłopskich cen za ziemię, w rezultacie pociąga za sobą parcelację majątków ziemskich większych folwarcznych. Właściciela bowiem takiego folwarku, zwłaszcza, gdy mu się nieświetnie na nim gospodarzy i dzieje, cena za ziemię przez chłopów ofiarowana zbyt korci i zachęca, by przezwyciężywszy trudności prawne i „przywiązanie do rodzinnego" gniazda nie pozbył się częściowo lub zupełnie swego majątku.

Prężność więc chłopska w kierunku kupna ziemi sprawia, że ceny za nią na skutek popytu (rosnącego wraz ze zmniejszaniem się obszaru parcel) idą w górę niepomiernie, co znowu zachęca właściciel dóbr do korzystnego dla się zbywania ziemi. Chłop gotówkę zbiera na emigracji zamorskiej lub na Saksach, płaci jednakże za ziemię część jeno małą ceny kupna, resztę spłacając ratami (t. zw. kredyt nabywczy); właściciela zaś folwarku potrzebującego zawsze gotówki spłaca odrazu *spekulant* ziemi, który wie dobrze, że ze świetnym, lichwiarskim procentem gotówkę tę odbije sobie od chłopa, najakuratniejszego z dłużników w Polsce.

Tu poczyna się jednak załamywać „jasna" linja zdrowej ekspansji chłopskiej. Oto spekulant ziemi — absolutnie nie reaguje na... interes gospodarczy narodowy w przeprowadzeniu tej ważnej i głęboko w ustrój agrarny sięgającej reformy, jak parcelacja. Chodzi mu[2]) o wyciśnięcie z chłopa jak największej ceny za ziemię; w tej mierze zadawala się spekulant jak najdłuższą spłatą kapitału, daje chłopu niewątpliwe ulgi chwilowe, by potym je wyzyskać doskonale, w rezultacie dąży do *rozbicia* dawnej jednostki gospodarczej na *możliwie najmniejsze skrawki* gruntu, gdyż wie dobrze, że za tymi skrawkami jest największy popyt i największa stosunkowo cena ofiarowana. Interes więc spekulanta galicyjskiego staje w *rażącej* sprzeczności z interesem gospodarczym, który wymagałby tworzenia osad samoistnych ekonomicznie lub powiększania znacznego jednostek gospodarczych już istniejących, aż do stopnia samoistności. Stąd parcelacja w Galicji, która ma źródło wspólne, ogólno - polskie z takąż parcelacją w dwu innych zaborach, przybiera pewne swoiste cechy, z którymi możemy się nie spotkać gdzieindziej, np. w Poznańskim, gdzie istnieje [3]) parę ciał o charakterze publiczno społecznym, zajmujących skutecznie miejsce spekulanta.

W Galicji nauka i praktyka agrarna (patrz: rezolucje sejmowe) żąda od kraju jako takiego, by wziął na się w tym celu stworzoną instytucję parcelacyjną mająca uregulować gorączkę parcelacyjną, nadać jej charakter zdrowego ruchu gospodarczego, jak istnieje już Patronat spółek rolniczych przy wydziale krajowym, by w ten sposób kres położyć szkodliwej i niesumiennej spekulacji prywatnej. Dotąd nie poruszyła się sprawa jednakże dalej po za rezolucję i zebranie dość pobieżne materjałów. W każdym razie pewne *cyfry i fakty* w tej mierze są już i tu niewątpliwe, mimo ubożuchność materjałów statystycznych w kwestji parcelacyjnej i to w Galicji także.

Przedstawiliśmy tu krótki, ale istotny zarys ruchu chłopskiego w Polsce zwłaszcza galicyjskiej, z którego jasno wynika, z jak niezmiernie ważną nietylko gospodarczą ale także i społeczno-narodową mamy do czynienia „instytucją" publiczną.

Spodziewaliśmy się w dziełku p. Grabca, który zresztą ma należyte zrozumienie dla charakteru przeważnie rolniczego ziem i ludzi polskich, znaleźć wyczerpujące w granicach zakreślonego celu omówienie i ocenę ruchu parcelacyjnego, jako najbardziej znamiennego z ruchów agrarnych Polski. Niestety p. Grabiec kwestję tę, której mu pominąć nie wolno było, a której opracowanie znalazłby, jeśli chodzi o Poznańskie i Galicję choćby w rzeczach Rozwadowskiego, Grabskiego, Bujaka, poniekąd Witolda Lewickiego, Leop. Jaworskiego, Dąmbskiego, i w. i. jak również w materjałach Wydziału krajowego, Banku parcelacyjnego, etc., ujął zbyt lakonicznie i powierzchownie, a „cyfry i fakty" jego współczesnej Polski są w tej kwestji, powtarzam zasadniczej dla ludu polskiego i sprawy polskiej, niewystarczające zupełnie. „Kwe-

---

[2]) Specjaliści parcelacyjni rekrutują się w Galicji nietylko z lichwiarzy żydowskich małomiasteczkowych lecz co znamienne z adwokatów, notarjuszy etc.

[3]) Patrz dr. Jan Rozwadowski „Parcelacja" i t. d.

stja rolna polega na tym — pisze p. Grabiec, który poprzednio uznał dwie zasadnicze w Polsce kwestje: rolną i robotniczą, — by dać ziemię kilkumiljonowej rzeszy chłopów bezrolnych lub małorolnych. Ziemia ta może być jedynie wzięta od większych właścicieli ziemskich. Rozwiązanie tej kwestji jest sprawą życia i śmierci dla narodu, a jej premissą samodzielność polityczna narodu". Otóż kto *tak* pisze, pomijając frazeologję i ostatnie słowo o niepodległości narodu, który wedle nas kwestję agrarną np. w Galicji już *teraz* i to koniecznie teraz musi jeśli nie załatwić, to przynajmniej unormować należycie, otóż kto tak pisze, nie może w książce o spółczesnej Polsce pominąć lub powierzchownie ująć kwestję parcelacji, chociażby ta kwestja poza „cyframi i faktami" wymagała jeszcze próby ogólniejszego ujęcia rzeczy i jej oceny.

Dr. Leon Biegeleisen.

KRYTYKA.

Teatr Letni.

Złota Kaczka — baśń sceniczna w 3-ch aktach Stanisława Kozłowskiego.

Upadek repertuaru nie od dziś jest klęską współczesnego teatru. Czemu to przypisać? Czyżby zarówno w Polsce jak na szerokim świecie, nie było już autorów, pisujących artystycznie mocne sztuki? Autorowie tacy są, ale zarówno w literaturze teatralnej, jak wszelkiej innej, talent twórczy spotyka przeszkody tym większe, im większą jest jego oryginalność i brak podobieństwa do utworów już istniejących. Zarówno w gabinetach teatralnych, jak po redakcjach pism i w jury artystycznych zasiadają *sui generis* mędrcowie i mędrkowie, których mdłe dusze pełne są rutyny, doświadczenia i wszelkiej innej stęchlizny. Niemała to przeszkoda, aby sztuka rozwijała się normalnie — ci właśnie rzekomi sztuki protektorzy i jej banalni chwalcy. To również wywołało dziwne w naszych czasach zjawisko, że tu i owdzie powstaje teatr, przybierający miano „artystycznego". Czemże więc są inne teatry? Czemu służą? Służą tak zwanym przeciętnym gustom publiczności. Schlebiają smakom spaczonym. Są rozsadnikami lichego o sztuce pojęcia.

Gdzie nie o sztukę chodzi, lecz o publiczność — to jest o kasę — tam, rzecz prosta, będą zawsze faworyzowane rozmaite odmiany banalności, prostactwa, naiwności, ubóstwa wyobraźni, duchowej pospolitości i wszelakiego rodzaju paraliżów w sferze duchowej — zwanych zbyt już przesadnie i niezasłużenie — moralnością. Obawa eksperymentu i śmiałego rzutu — to jest obawa przed rzeczywistym talentem, jako czemś, co jest obce, niedostępne i wrogie tłumowi cechuje stale gospodarkę teatralną. Najgorszym dyrektorem jest zawsze ten, który liczy się z publicznością. Dość jest wyobrazić sobie człowieka, wyzwolonego z przesądu o tłumie i o jego karmieniu, aby ujrzeć, że tu właśnie otwiera się droga dla sztuki i miejsce dla prawdziwych talentów.

Teatr „Rozmaitości" i zastępujący go obecnie „Teatr Letni" otacza gorliwą protekcją kasę, to jest uprawia wzgardliwe pojęcie o publiczności, to jest krzewi najpospolitsze fabrykaty i falsyfikaty sztuki pod postacią: sztuka banalność, sztuka demoralizująca, mistyfikacja, sztuka bezwład, spłowiałośc i bezsilność. Po płytko poprawnych „Marjonetkach" Wolffa i skandalicznej „Matce" Tobieckiego, wprowadzonej na scenę dla względów moralnych (ach, ta wiekuista troska o moralność — czyli droga do złej sztuki!) wystawiono „Złotą Kaczkę" Stanisława Kozłowskiego.

Jest to sztuka, która wprost rozbraja! Takie to poczciwe, bezpretensjonalne, niezłośliwe, dobre, płytkie, niczego niepotrzebujące, ubożuchne, naiwne. Cieniutka warstewka tak zwanego artyzmu — jak lśniąca politura — ozdabia ten mebelek niepalisandrowy. Nikogo to nie zadraśnie, nikomu nie sprawi przykrości, nikogo nie nauczy rzeczy najmniejszej, nikomu nic nie ujmie, nikomu nic nie doda. Nie można się o tym wyrażać z prawdziwą naganą — po prostu nieco nudzi, nieco bawi, nieco niecierpliwi, nieco dziwi. Dla człowieka, który chce w teatrze naprawdę czegoś doznać, jest to rzecz nie do zniesienia..

Sądząc z tytułu miała to być baśń. Że to baśń nie jest — to rzecz najpewniejsza. Aby baśń napisać, trzeba mieć sumienie świeże, nie obciążone jeszcze pleśniami banalności. Tu brak żaru wyobraźni, no i ręka trochę przyciężka. Co zaś do sprawności i rutyny scenicznej, to o jej wartości w sprawie tworzenia scenicznego tyle się trąbi, że warto zatrąbić do odwrotu na tym polu...

Wsród pospólstwa warszawskiego urodziła się niegdyś legenda, że w podziemiach przy ulicy Ordynackiej, gdzie za lat dawnych stał zamek książęcy, pływa po sadzawce „Złota Kaczka". Ta „Złota Kaczka" ma być księżną zaczarowaną z tego powodu, że, jako można pani, była dla poddanych srogą a chciwą na złoto, które trwoniła dla własnej tylko rozkoszy. Za to zamieniona w złotą kaczkę, znosi męki piekielne, czekając wyzwolenia, a ten ją wyzwoli, kto się odda pod jej władzę na rok jeden i ze skarbów, jakimi go ona obdarzy, nigdy nie odda ani grosza na cel dobroczynny.

Jeżeli treść legendy warszawskiej jest dokładnie taką, to byłaby ona ciekawym dowodem rozwiązania przez gawiedź problematu wyzwolenia — nie w duchu chrześcjańskim. Według nauki kościoła jedna dusza wpłynąć może na zbawienie drugiej tylko przez modły i dobre uczynki. Tu zbawienie ma nastąpić przez to, że znajdzie się druga dusza, zdolna do podobnej oschłości uczuć względem ludzi. Słowem, legenda ma odblask niechrześcjańskiej moralności, piętno odmiennych pojęć etycznych — może nawet coś z prastarego słowiańskiego albo litewskiego pogaństwa.

Autor wziął tę legendę na surowo i zawikłał się w jej nielogiczności — ze stanowiska chrystjanizmu. „Złota Kaczka" okazuje się w końcu oszukanicą, która wbrew własnemu zbawieniu wprowadza w błąd bohatera sztuki — Adolfa. Okazuje się, że żądając, aby był oschły i cierpki dla innych — miała zupełnie co innego na myśli: powinien być dobry, hojny, uczynny... Adolf tego nie odgadł, więc ginie, lecz i „Złota Kaczka" nie dostępuje wyzwolenia... Prócz tego, Adolf w gruncie rzeczy nie jest wcale oschły i nieuczynny... Postępuje oschle, zadając gwałt sobie, aby wyzwolić „Złotą Kaczkę" i przez to ginie? Oto w jaki splot banalnych nielogiczności i dziecinnady wprowadza widza autor, skoro tylko widz zechce dać na chwilę spojrzeć na sztukę serjo.

Każdego ambitniejszego autora pociągałby pierwiastek fantastyczny w legendzie — barwny świat duchów, puków, gnomów, koboldów, śmieszków, strzyg!

Pan Kozłowski wprowadza „Złotą Kaczkę" do uczciwego domu mieszczańskiego — ukazuje ją jak w płachcie kinematograficznej. Jest w sztuce nieco wspomnień przeszłościowych, nieco wiarusów Napoleona, tu i owdzie wspomniany Linde, Osiński, Mickiewicz, walka klasyków z romantykami. Wszystko to jest kinematograficzne — miłe, konwencjonalne, bezcelowe. Atmosfera zaniku woli i dążenia — tak charakterystyczna dla wielkich zastojów i uwiądów — otacza mówiące, gestykulujące i tańczące marjonetki „Złotej Kaczki" — która jest dowodem, że zwycięzki kinematograf, w swym tryumfalnym pochodzie po Warszawie, wkroczył już na deski naszej wielkiej sceny.

Leon Choromański.

Przyczynek do przyczynku.

W N-rze 19 *Prawdy* p. Grubiński jako dramaturg, studjujący mechanikę efektów, usiłuje zdać sobie sprawę, co wywołuje taki silny efekt w „Kupcu weneckim". Przytym, zdaniem moim, określa tylko ogólne kategorje dramatu, ramy, w których obraca się każdy dramat zarówno dobry jak zły. Każdy bohater dramatyczny musi mieć trochę słuszności i trochę niesłuszności (co Hebbel ujął w teorję „der gleichen Berechtigungen") i z tego stosunku, tkwiącego już w samej formie, korzysta zarówno mistrz jak fuszer. Właściwym zadaniem analizy byłoby pokazać, dlaczego w pierwszym wypadku owa forma wypełnia się i wywiera wrażenie, a w drugim nie, czyli co widza zmusza do stawki współczucia wyższej lub niższej. P. Grubiński sprostał po części i temu zadaniu, wskazując na dwa momenty specjalne dla „Kupca weneckiego": 1) występują tu dwaj wzajemni zbrodniarze, którzy są zarazem dwiema wzajemnymi ofiarami 2) wina i kara ściągnięte są na jedno miejsce i na jedną godzinę. I to jednak nie wiele nas wysuwa poza stanowiska formalne, gdyż pierwszy moment—wzajemnego związania, (chociaż wątpię, czy i *my* godzimy się na to, że Antonio jest zbrodniarzem) powtarza się również w wielu tragedjach, zaś zbliżenie w miejscu i w czasie jest nawet korzyścią techniczną, która dała ongi powód do sformułowania błędnej teorji o „jedności miejsca i czasu".

W specjalne warunki „Kupca Weneckiego" o wiele bardziej wprowadza uwaga, którą, o ile mi się zdaje, uczynił Goethe. Podnosi on mianowicie ten szczegół, że Shylok zamiast korzystać z przywolenia trybunału i odważnie wbić nóż w pierś Antonia i krajać, choćby miał przelać krew, odstępuje tchórzliwie od zemsty, gdyż mienie jest mu od niej droższe. I to jest właśnie chwila rozstrzygająca. Shylok pada ofiarą nie dowcipu Porcji, lecz własnej słabej natury, jego nienawiść i zemsta są zbyt słabe i tchórzliwe. Mordować może tylko wtedy, gdy się czuje zaasekurowanym. To jednak jest zarazem tak bardzo ludzkim. Inaczej Schylok byłby demonicznym, nieprawdopodobnym. Zdaje mi się, że autor tej uwagi komentuje ową chwilę nawet ze stanowiska rasowego.

Przy tej uwadze jednak należałoby wyrazić zdziwienie, dlaczego Porcja nie obawia się, że Shylok przecież zaryzykuje, lecz owszem wzywa go do krajania. To nieprawdopodobieństwo da się wytłómaczyć tylko ogólną zapowiedzią: „komedja" — więc jesteśmy z góry przygotowani na to, że krew się nie poleje lecz, że przyjdzie jakaś pointa. Odgrywa jednak przytym rolę jeszcze jedna okoliczność, której, zdaje mi się, dotychczas jeszcze nie zauważono. Okoliczność ta zaś wypływa właśnie ze specjalnego pomysłu o funcie mięsa, który czyni ową scenę właśnie ową słynną sceną z „Kupca Weneckiego".

Shylok chce się zemścić. Tak. Ale można przypuszczać, że bogaty Shylok mógłby każdej chwili wynająć sobie jakichś skrytobójców, jakichś Lancelotów, którzyby Antonia usunęli ze świata. Nie chodzi mu więc o zemstę samą, gdyż dopiero ów dziwaczny warunek wekslowy — pod wpływem utraty Jessyki — rozjątrza w nim drzemiącą oddawna żądzę zemsty potencjalnej. Jemu chodzi o zemstę cyniczną, przy świadkach, zemstę, mającą charakter generalnej rozprawy rasowej. Ale i to nie wszystko. Dlaczego nie ogranicza się np. na odcięciu Antoniowi ręki? Czy chodzi mu o śmierć Antonia? Tego nie można wprost potwierdzić. Jemu chodzi wyraźnie o funt mięsa z pod serca, że wycięcie go będzie połączone ze śmiercią, to jest moment konieczny, lecz nie najważniejszy. Chodzi mu więc o spełnienie snu o pewnego rodzaju zemście, o zemstę symboliczną. Waga, którą przynosi ze sobą, jest dla niego wagą sprawiedliwości. Shylok nie może się mścić bez cyfry, bez wagi. Porcja zaś zamienia mu jego sen w prozaiczną rzeczywistość, psuje mu specyficzny smak tej zemsty. Demaskuje jego cyfrowość, doprowadzając ją do absurdu. Shylok mógłby wprawdzie odpowiedzieć: To jest znowu oszustwo chrześcjańskie, czysta sofisterja. Jeżeli prawo pozwala mi mięso „wykroić", to tym samym pozwala mi prawo na uboczne skutki wykrawania, a więc na „przelanie krwi" — lecz to mu nawet na myśl nie przychodzi, jest on już odrazu zbity z tropu.

Tego rodzaju specjalne okoliczności, tkwiące w temacie, stanowiące jego odrębną atmosferę, sprawiają, że taka scena podpada potym pod ogólne kategorje dramatyczne: czy to ich będziemy szukali w równouprawnieniach, czy w „litości i trwodze". Dodać jednak należy, że Szekspir bynajmniej tych okoliczności nie podkreślił, nie wyzyskał, przypadły mu one w udziale razem z tematem, który nie jest jego wynalazkiem. Nie trzeba Szekspira brać dogmatycznie, podkładać mu kukułcze jaja własnych pomysłów, ani używać go za długi drut do wykłucia oczu *pièce à thèse.*

Karol Irzykowski.

NA DOBIE.

Znak życia.

Wytrącony z długiej drzemki komitet budowy pomnika Szopena dał wreszcie znak życia, rozsyłając do pism zawiadomienie, że p. Szymanowski, twórca niefortunnego projektu, przedstawił władzom do zatwierdzenia przejrzane i poprawione plany.

Co powiedziawszy, komitet znów ułożył się do snu.

Czekając bez optymizmu na dalsze losy nagrodzonego projektu, pozwalamy sobie zauważyć, że byłoby lepiej, gdyby komitet sięgnął do teki konkursowej i wydobył nagrodzony II nagrodą projekt rzeźbiarza Otto, mniej może od tamtego „oryginalny" ale zato łatwiejszy do wykonania.

O panowanie nad światem.

Jak wiadomo, każdy z „wielkich" narodów (a któryż nim nie jest?) żywi skromne nadzieje podbicia i opanowania całego globu. Napoły mistyczne, napoły pozytywne na ten temat wywody, wskazania i przepowiednie kołaczą się po niemieckich, angielskich, amerykańskich, rosyjskich organach prasy, chętnych zawsze znajdując czytelników.

Jeśli wierzyć mamy rewelacjom niejakiego Brafmana, ex-rabina wileńskiego, który przyjął prawosławie, ambitne te mrzonki żyją i w żydostwie, tragiczny i śmieszny tworząc kontrast ze strasznym upośledzeniem, zaniedbaniem i zacofaniem tego nieszczęsnego szczepu.

Brafman w książce, wydanej przed 40 laty a dziś przełożonej na język polski, streszcza szereg „przykazań" mających dokonać tak paradoksalnego czynu, jakim jest wyniesienie 10 miljonów parjasów z dna nędzy i ciemnoty na szczyt potęgi i władzy.

Alfą i omegą wszystkich w tym celu zaleconych środków jest złoto, a więc: finanse, przemysł i handel.

Nie gardzi jednak instruktor żydowski i duchowymi czynnikami, radzi więc opanować prasę i wyzyskać jej rosnące znaczenie, szczególną kładąc wagę na walkę z chrystjanizmem:

„Potężnym—pisze- i naturalnym naszym wrogiem jest Kościół Chrześcijański. Wszelkimi siłami powinniśmy szerzyć w nim tendencje wolnomyślne, sceptycyzm, sekciarstwo, niewiarę, dążyć do wytworzenia w łonie Kościoła Chrześcjańskiego zaciętych walk wewnętrz-

nych. Robotę swoją zacząć winniśmy od samej góry, od kierowników i sług tego Kościoła nam wrogiego; trzeba im wypowiedzieć otwartą wojnę, śledzić bacznie prywatne życie księży i biskupów, szukać w nim stron ujemnych, hańbiących, dopomagając do ich zwiększenia i pogłębienia."

Nie będziemy tutaj rozstrząsali, czy książka Brafmana jest apokryfem, czy też autentycznym i wielce wymownym dokumentem. Do tych dociekań powołani są inni, zarówno obrońcy Sjonu, jak i jego namiętni przeciwnicy.

Co do nas, poprzestać możemy na jednej uwadze.

Pewne sfery i pewne pisma pod szyldem postępowym od dłuższego już czasu uprawiają napastliwy krytycyzm względem religijnej ciemnoty aryjskiej, otaczając zarazem tkliwym i opiekuńczym skrzydłem religijną ciemnotę semicką.

A jeśli wziąć pod uwagę, że wstecznictwo żydowskie pod względem skamieniałości i rutyny góruje niezmiernie nad wstecznictwem aryjskim — tym bardziej musi być rażącym ów tkliwy przywilej, jaki nad nim roztacza pewna część prasy „postępowej" i „polskiej" — ta sama, która wszelkie próby złamania tego przywileju piętnuje mianem „antysemityzmu".

I nie o to chodzi, że Brafman zmyślił swoje rewelacje, czy może wcale ich nie pisał.

Chodzi o to, że istnieją na powierzchni życia fakty rażące i wszystkim widoczne — fakty, które umożliwiają cały szereg posądzeń i nadają różnym rewelacjom w stylu Brafmana wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

W Centralnym Tow. Rolniczym.

Sprawozdawcze zebranie C. T. R. nie wesołe dla rolników przyniosło dane, gdyż rok ubiegły zaznaczył się klimatycznymi i finansowymi klęskami — pomimo usilnej pracy w kierunku podniesienia wydajności warsztatu rolnego. Zato jednak działalność organizacji rolniczych wyrosła jakościowo i ilościowo, jak to wykazało sprawozdanie z poszczególnych wydziałów C. T. R. Największym dorobkiem kulturalnym będą kursy rolnicze przy Muzeum Przem. i Rolnictwa, wspólnym staraniem przez tę instytucję i C. T. R. zorganizowane, jako wyższa uczelnia agronomiczna w naszym kraju.

Drobna własność ziemska zorganizowana w kółka rolnicze pod egidą obszarniczą, liczy ich 608, wraz z 23 tysiącami uczestników. korzysta z usług instruktorów, subwencji rządowej i doznaje poparcia swych zakładów przemysłowo rolnych; samych mleczarni włościańskich założono 73 — każda na jedną wieś oddzielnie.

Przewodniczący w sprawozdaniu swym polemizował z przeciwnikami — zarzucającymi kierownikom kółek zbytnią nad nimi opiekę: pozbawienie samodzielności ich członków przez obywateli wiejskich, proboszczów i t. d. nietylko w sprawach rolnych, lecz i na szerszym horyzoncie społecznym, którzy wedle słów *Zarania* politykę i do obory wnoszą.

Trudno było mu jednak odparować należycie ten zarzut i zaledwie blado odpowiedział na to zapynie, stwierdzając, że inteligencja wiejska za bardzo się rolą przewodników przejmuje i tym daje pozory narzucania kółkowcom obcych rolnictwu haseł.

Trudno jednak nam jeszcze zrzucić z siebie obszarniczą skórę i wywabić ze siebie chemicznie dawne nałogi, które bezwiednie odzywają się w nas atawistycznie i każą nam patrzeć na chłopa, jako na urodzonego subalterna, który w naszym interesie winien pracować na rolniczym i politycznym polu.

Zaznaczyć wreszcie należy, że po raz pierwszy na zebraniu C. T. R. mówiono o *Kółkach Staszycowskich* bez animozji, nawet z pewnym uznaniem, co świadczy o pewnej dodatniej w poglądach zachowawczych zmianie. *Agr.*

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Jeszcze jedno niebezpieczeństwo* wykryto u stóp Jasnej Góry. Mianowicie *Goniec Częstochowski* zatroskał się o losy tego świata, któremu fatalny grozi koniec z powodu emancypacji kobiet.

> Jakimi mogą być dzieje świata, którego matki, zrywając z Bogiem i wiarą i z wszelkimi ideałami, rodzą i wychowują — Kainów i Judaszów? Śmiertelna trwoga o przyszłość moralną ludzkości musi ogarnąć każdego, kto uprzytomni sobie chwilę zapanowania nad światem ludzi zrodzonych z matek — bezwyznaniowic.
>
> „Wolne" od wiary w boskie pochodzenie człowieka, od miłości, cnoty i poświęcenia, od zamiłowania w ciszy ogniska domowego, nie dadzą one dzieciom swym nic, okrom instynktów zwierzęcych... I nie może być inaczej boć przecie lwy nie wylęgają się w kretowiskach, ani też sowy nie rodzą sokołów.
>
> Rodziny, w których te kobiety, niegodne nazwy matek, mają być strażniczkami ideału, staną się gniazdami zarazy moralnej, rozsadnikami upadku — tym straszniejszego i gwałtowniejszego, że znajdować on będzie w matkach ciągłe wyobrażenie i podnietę.
>
> Oto następstwa i skutki moralnego skarlenia rodziców, a zwłaszcza matek współczesnych „emancypowanych".

Podpisano: W. Michalski. Ten częstochowski pisarz powinien myśli swoje wypowiadać w formie częstochowskich rymów: łatwiej je będzie spamiętać.

Kurjer Łódzki opatrzył przytoczony ustęp następującą trafną uwagą:

> Na rację p. Michalski, twierdząc, że „silny orzeł nie spłodzi słabego gołębia", gdyż nigdy „orłem" nie będzie, płodząc takie... głupstwa.

* Orłem nie jest również i p. Jgnacy Kruszwicki, który w *Gazecie Warszawskiej* rozpoczął druk długiego paszkwilu „O postępie i skamieniałościach umysłowych", takie nam (i sobie) wystawiając świadectwo:

> Postęp warszawski był zawsze i jest po dziś dzień niepoprawny w swoich twierdzeniach i opinjach, przesądach i nieświadomości. Tyle się rzeczy zmieniło dokoła, tyle gwiazd zagasło na widnokręgu umysłowym, tyle liberalnych „zasad" i haseł okazało się humbugiem, bańką mydlaną lub wprost szwindlem, postęp zaś nasz, jakby zaczarowany, niesie bez przerwy stary balast złudzeń, kłamstwa i blagi, uwodzi zapewne jeszcze niektórych i sypie im piaskiem w oczy.

W tej formie połajanka p. Kruszwickiego staje się zaszczytną do nas apostrofą. Przypomina ona społeczeństwu, że „postęp warszawski" istnieje oddawna, że wytrwał na swoim stanowisku bez mała pół wieku, że wrósł głęboko w grunt tutejszy, że ma za sobą tradycje, a więc to, co zdaniem pp. zachowawców jedyną stanowi wartość.

Istotnie, wiele humbugu i blagi przeszło mimo nas, wiele szumnie reklamowanych bożyszcz w proch się zwaliło, wiele doktryn zbutwiało i zczezło w naszych oczach, a ulotne hasła i porywy, na chwilę jedną wybujałe, zgasły i przepadły, jak rakiety, zostawiając po sobie dym i swąd i czad niezdrowych uniesień.

A „postęp warszawski", szczuty i szarpany z prawa i z lewa, wytrwał na swoim miejscu z nigdy nie starzejącym się hasłem *uczestniczenia w cywilizacji ogólnej i posuwania własnej.*

Inne, obok nas powstałe kierunki, zdążyły skompromitować się doszczętnie w przeciągu lat kilku.

Winien wiedzieć o tym p. Kruszwicki, pisujący w *Gazecie Warszawskiej*, toteż sądzimy, że wysoce z jego strony nieoględnym było wspominać o „humbugu, blagie, szwindlu i kłamstwie".

Można być nieprzejednanym wrogiem „zasad" będąc uczniem p. Dmowskiego, ale o jednej zasadzie trzeba pamiętać — zwłaszcza, że nie o „liberalną zasadę" tu chodzi: nie mówić o stryczku w domu wisielca.

Największą urazę żywi autor do postępowców za ich kampanię wolnomyślną, opartą, jak powiada, na „bałamutnej opinji o wszechwładnej roli katolicyzmu w Polsce". W istocie zaś „mniemane opanowanie przez kler życia duchowego i społecznego — wyłączając drugą połowę XVII-go w. i czasy saskie — było, jest i pozostanie fikcją, którą jedni operują ze złej woli, drudzy — z nieznajomości rzeczy".

Ku poparciu tego bądź co bądź ciekawego twierdzenia przytacza p. Kruszwicki następujące racje:

Kler nasz, zamknięty i unieruchomiony, w znacznej części nie wie nawet, jak świetną i rozległą działalność rozwija katolicyzm w innych krajach, gdzie, nie poprzestając na bezpośrednich obowiązkach, na obrządkach, kazaniu i udzielaniu sakramentów, wyszedł poza mury kościoła, organizuje związki i stowarzyszenia ekonomiczne i robotnicze, uczy w szkole i poza szkołą, działa słowem i czynem.

Naogół jest to słuszna uwaga, ale czegóż ona dowodzi? Że kler tutejszy, do twórczej roli niezdolny, a roszczący sobie prawo kontroli duchownej nad życiem narodu, legł był jak ciężka kłoda na drodze wszelkich świeckich zapoczątkowań kulturalnych. Aby ten stan rzeczy odczuć i uznać za szkodliwy, bynajmniej nie trzeba mieć w głowie „nauk Büchnera, Vogt'a i Moleschott'a" — dość być rozumnym i prawym obywatelem swego kraju. To też widzimy, jak rośnie z dnia na dzień i coraz szersze zatacza koła przedsięwzięta przez nas kampania o samodzielność kulturalną i swobodę rozwoju.

Jeszcze jedna uwaga. „Świetna i rozległa działalność katolicyzmu w innych krajach" jest poprostu spóźnioną mobilizacją szyków kościelnych wślad za uruchomieniem całego życia publicznego narodów Zachodu; tam, gdzie kościół panował niepodzielnie— w Hiszpanji i Portugalji — zamiast „świetnej działalności" widziano haniebny, beznadziejny, okropny zastój na wszystkich polach... We Francji kler uruchomił się sprężyście w walce z republiką świecką i demokratyczną, w Niemczech ruch katolicki wyrósł na falach Kulturkampfu. *Nigdzie* kościół współczesny nie wykazał twórczości samodzielnej, nie przyczynił się czymkolwiek bądź do rozwoju i szczęścia podległych sobie społeczeństw; *wszędzie* natomiast uczyniły to żywioły „masońskie" i dopiero za ich przewodem i wślad za nimi decydował się kler wyjść ze swego gnuśnego zastoju.

A u nas? Dopiero po ruchach wolnościowych 1905 r., którym kler zajadle zlorzeczył, organizować się począł do wstępnego boju częstochowski „obóz gorliwców" tudzież *Związek Katolicki* i Demokracja Chrześciańska z szeregiem stosownych kół i organów. Uruchomienie kleru jest więc już faktem dokonanym, mimo że p. Kruszwicki o tym nie słyszał. Nadomiar, ukaz tolerancyjny zbudził drzemiące w Rzymie apetyty na Rosję, wzmógł prozelityzm katolicki na Wschodzie i spowodował wiadome względem Polaków represje. I tu więc kler pokazał, co umie. W dziedzinie szkolnej, zwalczając zrazu uparcie powstanie szkoły polskiej, wkrótce postanowił kler opanować ją niepodzielnie, nie cofając się przed bojkotem i donosem w razie oporu.

Odtąd walka wre na całej linji. Bezwładna zrazu kłoda, bierna zapora na drodze naszego postępu, dziś jest już zawadą czynną, kierowaną ruchliwymi i sprawnymi dłońmi. Kultura polska musi się z nią uporać, jeśli ma nadal być kulturą samoistną i żywotną i nie zaginąć gdzieś na szarym końcu cywilizacji współczesnej.

Niespożytą, niezmierną w tej mierze zasługę mieli *pozytywiści warszawscy* z drugiej połowy zeszłego stulecia, pokolenie trzeźwe i rozumne; z jego to wielkiego dorobku duchowego wykroiły swoje skąpe zasoby wszystkie późniejsze kierunki, włącznie z narodową demokracją, która przez usta pp. Kruszwickich iście bękarcią za to okazuje wdzięczność.

* *Watykan i Słowo.* Kiedy niedawno, z powodu sprawy chełmskiej, śmiało i otwarcie wytknął Świętochowski ciężkie winy kastowej i zachłannej polityce Watykanu, za którą Polacy dotkliwą ponieśli odpowiedzialność — zawrzasła prasa jednym krzykiem świętego oburzenia... Minęło lat parę... I oto na szpaltach zachowawczego i pobożnego *Słowa* takie w sprawie „propagandy Unji" znajdujemy uwagi:

Gdy Niemiec, ks. Wierciński, został przez rząd wydalony z granic państwa za propagandę katolicyzmu w kołach prawosławnych, najgorzej na tym wyszli Polacy, bo przypłacili to zajście egzystencją, a conajmniej ograniczeniem działalności kilku kulturalno-oświatowych instytucji polskich w głębi Rosji.

Poczym, stwierdziwszy „dla orjentacji własnej naszej opinji publicznej", że społeczeństwo polskie i duchowieństwo polskie (? kler tutejszy zależy od Rzymu) z tymi planami unji obu kościołów niema nic wspólnego, dodaje *Słowo* enigmatycznie:

Działają tu siły inne, częstokroć dla społeczeństwa polskiego wrogie, jakkolwiek ono płacić musi koszta tej niefortunnej kampanji.

Jeśli jaka praca w kierunku unji dziś się toczy, to w każdym razie nie w interesie politycznym Polaków. Wynika ona z jakichś innych interesów politycznych.

Widoki jej dla Kościoła są żadne. Przecież, jak stwierdza jedno z pism krakowskich, na ostatnim welehradzkim zjeździe ks. metropolita Szeptycki sam wyznać musiał publicznie, że co najmniej trzech wieków potrzeba, aby tę Unję urzeczywistnić — a inni, więcej od niego ze stosunkami w Rosji obznajmieni, a mniej, niż on rozentuzjazmowani, po jednej i drugiej stronie — utrzymują zgodnie, że Unja kościołów tego rodzaju, jak w Polsce pod koniec XVI w., a potym w Węgrzech — jest dziś niemożliwością i mrzonką, nie łatwiejszą do urzeczywistnienia, niż przywrócenie bizantyjskiego cesarstwa, królestwa Hanowerskiego, Nawarskiego, Burgundzkiego, — władzy świeckiej elektorów Moguncji, Trewiru, Kolonji i t. p.

A więc stajemy wobec pytania: czyje to polityczne interesy dyktują tę grę, której koszta my ponosimy?

Jak widać konserwatyści ze *Słowa* zdecydowali się wreszcie „stanąć wobec pytania" na które myśmy dawno już odpowiedzieli.

KRONIKA.

MUZEUM PRZEMYSŁU I ROLNICTWA. Zarząd Muzeum ogłosił sprawozdanie z działalności i obrotu funduszów w roku 1910.

Zarząd w roku ub. uzyskał pozwolenie na otwarcie przy Muzeum kursów przemysłowo rolniczych. Otwarto nową pracownię doświadczalno-naukową dla przemysłu fermentacyjnego i bakterjologji rolnej. W dalszym ciągu pracowały: pracownia chemiczna, fizyczna, geologiczno- antropologiczna, stacja centralna meteorologiczna. Oddział odczytów urządził w sezonie wiosennym 8 odczytów. Zbiory Muzeum zwiedziło 10,072 osoby; dochód z biletów wyniósł rb. 634 k. 48. Zbiory obejmują następujące działy: wykopaliska przedhistoryczne, starożytności, etnografję, dział przyrodniczy, przemysłowy i księgozbiór. Z fundacji szkolnych w r. ub. funkcjonowały przy Muzeum: Klasy rzemieślniczo- przemysłowe. Kursy przygotowawcze dla monterów-elektrotechników, Kursy dla monterów młocarń parowych, Kursy 2-tygodniowe dla mechaników wiejskich, letnie kursy gorzelnicze.

Wydatki w roku ub. wynosiły: administracja ogólna rb. 18,018 k. 31, raty Tow. Kr. m. Warszawy rb. 1,819 k. 31, zapomogi rb. 4,082, wydatki nadzwyczajne rb. 815 k. 15. Dochody były następujące: z lokali wynajętych rb. 5,430, wynajmu sal rb. 6 719 k. 69, składki członków

rb. 4,904 k. 50. procenty rb. 7,661 k. 31, bilety wejścia do zbiorów rb. 634 k. 48, różne dochody rb. 993 k. 71, razem rb. 26,298 k. 69. Rok zamknięto przewyżką dochodów rb. 1,564 k. 2.

KURCZY SIĘ... *Gaz. Nar.* donosi, że dobra Weldzirz, w powiecie dolińskim, obejmujące około 50,000 morgów, przeszły drogą licytacji w sądzie stryjskim na własność Spółki niemieckich spekulantów. Jest to prawdziwa strata narodowa, gdyż w powiecie dolińskim element polski już jest słabo reprezentowany, a dotychczasowy właściciel ogromnych dóbr, bar. Popper, spełniał obowiązki obywatelskie w miarę możności w naszym duchu. Strata ta jest tym większa, że, była nadzieja uratowania dóbr i przejścia w ręce polskie. Tylko potęga finansowa Anglobanku, który spółkę utworzył i popiera, umożliwiła tę tranzakcję. Dowiadujemy się — kończy swe doniesienie *Gaz. Nar.* — że na szczęście wniesiono przeciw tej licytacji z wielu stron zarzuty i mamy nadzieję, że wszystko uczynionym zostanie, aby ważną tę placówkę dla naszej sprawy jeszcze ocalić.

STATYSTYKA LITWY. Podług obliczeń urzędowych w gub Wileńskiej mieszka: 461 tys. prawosławnych, 576 tys. katolików białorusinów, 246 tys. Litwinów-katolików, 277 tys. Polaków-katolików i 253 tys. żydów, razem 1,815 tys. ludzi; w gub. Kowieńskiej mieszka: 80 tys. prawosławnych i staroobrzędowców, 73 tys katolików-Białorusinów, 1,167 tys. Litwinów-katolików, 57 tys. Polaków-katolików i 262 tys. Żydów, razem 1,641 tys. ludzi w gub. Grodzieńskiej mieszka: 974 tys. prawosławnych, 379 tys. Białorusinów-katolikow, 15 tys. Litwinów katolików, 77 tys. Polaków-katolików i 316 tys. żydów, razem 1,762 tys. ludzi. Z tych cyfr wynika, że prawosławni w gub. Wileńskiej stanowią czwartą część ludności (27 proc.), w Kowieńskiej dwudziestą część (5 proc.) i Grodziejskiej przeszło połowę (57 proc.) ogółu mieszkańców.

CIEKAWE LICZBY. Ogłoszono budżety wszystkich miast gubernji kaliskiej na rok 1911.

Z budżetów tych dowiadujemy się, że Łęczyca przy 24,768 rb. 64 k. dochodu, ani grosza nie wydaje na szkoły i instytucje społeczne, Ozorków przy 41,033 rb. 03 k. — 185 rb., Słupca przy 7'421 rb. 26 kop. — 60 rb., Błaszki przy 5,082 rb. 82 k. — 90 rb., Koło przy 22,374 rb. 63 k. — 1,490 rb. 40 k., Dąbie przy 7,316 rb. 95 k. — 145 rb. 15 k., Turek przy 9,432 rb. 90 k. — 472 rb. 53 k., Zduńska-Wola przy 28,475 rb. 18 k. — 135 rb. 40 k., Warta przy 9,224 rb. 32 k. — 117 rb. 91 k., Sieradz przy 13,022 rb. 23 kop. — 300 rb. 15 k., Wieluń przy 16,532 rb. 53 k. — 460 rb. 26 k. i Konin przy 26,762 rb. 04 k. — 471 rb. 90 k.

Przewyżki dochodu nad wydatkami przewidują budżety miast następujących: Łęczycy (807 rb. 66 k.), Ozorkowa (2,935 rb. 69 k.), Błaszek (158 rb. 68 kop.), Turku 650 rb. 31 k.), Zduńskiej-Woli (689 rb. 57k.), Wielunia 372 rb. 44 k.).

SZKODY ZAMIAST KORZYŚCI. Ponieważ łożysko Wisły prawie nigdzie nie jest uregulowane, każdy nadmiar wody wpływa na jego zmiany. Lada podniesienie się jej poziomu sprowadza wylew. Statystyka strat corocznych daje coraz bardziej wzrastające cyfry. Do jakich rozmiarów dochodzi spustoszenie, świadczą cyfry, zebrane przez urzędy gubernialne dolnego biegu Wisły od r. 1897—1906. Przez zniszczenie zasiewów i łąk a także uszkodzenie budynków straty dla guberni Kieleckiej wyniosły w tym okresie czasu 763,001 rb., dla Radomskiej 1,111,757 rb., dla Lubelskiej 329,325, w Siedleckiej w jednym tylko pow. Garwolińskim 143,203 rb. w Warszawskiej 723,343 rb. Ogólna suma szkód w dolnym biegu Wisły od 1897 do 1906 r. wyniosła przeszło 3,071,686 rb. W górnym biegu w latach 1884 i 1903 mieszkańcy nadbrzeżni za każdym razem ponieśli strat na 3 miljony rubli.

W ziemiach, należących do państwa pruskiego, które już w r. 1832 rozpoczęło prace regulacyjne, koryto Wisły jest zamknięte tak olbrzymimi wałami, że nawet największe powodzie nie przedstawiają dla nadbrzeży żadnego niebezpieczeństwa.

Rząd austryacki przystąpił do regulacji rzeki dopiero w 1863 r. i w niższym jej biegu, od Krakowa do granicy rosyjskiej roboty zostały już ukończone. Na 175 wiorstach, gdzie Wisła stanowi granicę naturalną pomiędzy Austrją a Rosją, pierwsza wykonała 75 proc. robót, druga 40 proc i oba państwa wydały na to po 3 miljony rubli. Reszta robót w Królestwie Polskim nie przedstawia nic godnego uwagi.

Olbrzymia rzeka, która w państwach sąsiednich obsługuje 19 miljonów ludzi, u nas prócz strat nic nie daje.

UPOSAŻENIE LEKARZY PROWINCJONALNYCH. Na Zjeździe lekarzy w Łodzi, dr. S. Bronowski z Warszawy przedstawił wyniki ankiety w sprawie uposażenia lekarzy. Według nadesłanych danych w odpowiedzi na kwestyonarjusz rozesłany do lekarzy w różnych miejscowościach Królestwa, zarobki lekarzy wiejskich przedstawiają się przeciętnie jak następuje: gub. warszawska — 2,100 rb., piotrkowska — 2,400 rb., siedlecka 1,650 rb., płocka — 2,100 rb., radomska — 2,100 rb., kielecka — 1,600 rb., lubelska — 2,150 rb., suwalska — musi być pominięta, kaliska — 1,500 rb., łomżyńska — 1,500 rb. Nadmienić należy, że lekarze wiejscy wykazują wprost olbrzymią ilość porad bezpłatnych. np. nieraz do trzech tysięcy porad rocznie. Najwyższe dochody lekarzy wiejskich tak się przedstawiają: gub. warszawska—3,500 rb., piotrkowska — 3,000 rb., siedlecka — 4,000 rb., płocka — 3,000 rb., radomska — 3,000 rb., kielecka — 2,600 rb., lubelska — 2,500 rb., kaliska — 3,000 rb., łomżyńska — 1,800 rb.

Dalej z nadesłanych odpowiedzi wynika, iż z lekarzy prowincjonalnych zaledwie połowa ogólnej ich liczby zabiega o gromadzenie oszczędności, czy też o zabezpieczenie starości drogą ubezpieczenia się i t. d. Druga połowa żadnych oszczędności nie robi i wogóle ledwie może podołać wydatkom rodzinnym.

W największem z miast prowincjonalnych, w Łodzi, przeciętny dochód lekarza wynosi 3.850 rb. (w Warszawie 3,175 rb.), najwyższy sięga sumy 9,025 rb. (wWarszawie 25,000 rb.), najniższy 920 rb. (w Warszawie 430 rb.).

ZMARLI. Zmarł w warszawie młody i utalentowany literat Zbigniew Brodzki. Urodzony w roku 1877 uczęszczał początkowo na wydział prawny uniwersytetu warszawskiego, lecz wkrótce zmuszony był studja przerwać, wydalony z kraju za udział w strajku studenckim w r. 1899. Brodzki udał się najpierw do Berlina dla studjów w zakresie literatury i historji sztuki, lecz z nakazu władz pruskich musiał niebawem stamtąd wyjechać i udał się do Paryża. Po powrocie do kraju, działalność literacką rozpoczął w *Prawdzie*, drukując krytyki i sprawozdania z literatury francuskiej i niemieckiej, wydał „Zarys historji literatury francuskiej” i kilka studjów literackich. Zmarł niespodziewanie po parudniowych cierpieniach.

— W Paryżu zmarł senator Maurycy Rouvier, znakomity finansista i pierwszorzędny mąż stanu. Był sześć razy ministrem i dwa razy stał na czele rządu. W r. 1905-ym przypadło mu w udziale dokończyć sprawy rozdziału kościoła i Państwa i załagodzić zatarg marokański w Algeziras. Ostatnio usunął się z widowni politycznej, czynną natomiast rolę odgrywając w świecie finansów.



OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca **Józef Jabłoński.** Redaktor **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.